WTOREK Nr 10 25 I 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Pociecha dla malutkich

ZSRR (PAP). Ludziom o bardzo niskim wzroście nareszcie można skutecznie pomóc. Już przed 10 laty w laboratorium w Kownie wydzielono samototropinę – hormon wzrostu, wytwarzany w przysadce mózgowej. Dziś produkcja leku o tej nazwie odbywa się już na skalę przemysłową. Stosowanie samototropiny w praktyce przynosi dobre rezultaty. Dorośli pacjenci o wzroście 120–130 cm, rocznie rosną o 3 cm.

(kl)

Czy wiecie, że...

● Gody – to dawna nazwa świąt. Tak nazywano czas od Wigilii do Trzech Króli, kiedy to wieczorami wystrzegano się wszelkiej pracy, a tylko spędzano czas na wzajemnych odwiedzinach, ugaszczaniu się i śpiewaniu starych pieśni.

Wierzono, że dzieci, które przyszły w tym okresie na świat, będą wesołego usposobienia, hojne, gościnne i przez wszystkich lubiane.

● W Polsce w roku 1586 grudzień miał 21 dni. W tym czasie Polska, idąc śladem większości państw katolickich, wprowadza kalendarz gregoriański, czyli tzw. nowy styl, ustanowiony przez papieża Grzegorza XIII w roku 1582. W tym celu skrócono grudzień o 10 dni, przeskakując z 22 na 31 dzień tego miesiąca. **(kl)**

Obraz TV – jak w kinie

JAPONIA (PAI). Po 12 latach badań japoński koncern Nippon Hoso Kyokai zaprezentował nowy system rejestracji, przekazu i odbioru programów telewizyjnych – donosi brytyjski „New Scientist". Dotychczas odbiorcy programów telewizji kolorowej, nadawanej w systemie PAL lub SECAM, grymasili z powodu nie najlepszej jakości obrazu. Przyczyną była niewielka ilość linii tworzących obraz w odbiorniku. W dotychczas produkowanych odbiornikach TV obraz emitowany przez lampę kineskopową powstaje (w zależności od systemu) tylko z 525 lub 625 poziomych linii. Powoduje to, że obraz ten nie jest dostatecznie ostry, zwłaszcza w odbiornikach o dużym ekranie.

Naukowcy japońscy postanowili podzielić obraz telewizji kolorowej na 1125 poziomych linii przebiegających przez ekran odbiornika w ciągu jednej sekundy. Japończycy twierdzą, że jakość obrazu telewizyjnego w tym systemie nie odbiega od obrazu zarejestrowanego na 35-milimetrowym filmie. **(jo)**

BUTY NIE TYLKO DLA NAPOLEONA

Fot. Jacek Łabuszyński

Pracownia pana Brunona to skromny, trochę przyciasny warsztat rzemieślniczy. Pracują w nim czeladnicy, a uczniowie uczą się zawodu. Czytajcie o tym na str. 5.

Kartki z dawnych lat

ZA „PROTEKCJĄ" JANA DŁUGOSZA

Zapewne nie wszyscy wiedzą, że Brzeżnica, położona obecnie w województwie częstochowskim, miejsce urodzenia naszego najwybitniejszego historyka wieków średnich, a zarazem pierwszego polskiego geografa – Jana Długosza, jemu najprawdopodobniej zawdzięcza fakt umieszczenia swej nazwy na najdawniejszej nowożytnej mapie Europy środkowej. Mapa ta, obejmująca Niemcy i kraje z nimi sąsiadujące, wykonana została w połowie XV stulecia (przed rokiem 1464) przez kartografa niemieckiego Mikołaja z Kuzy. Ponieważ wymienia nazwy ponad stu polskich miejscowości, trudno sobie wyobrazić, aby taka ich ilość mogła znaleźć się na niej bez informacji pochodzących z Polski.

Informacji tych mógł udzielić przede wszystkim Jan Długosz, który jest autorem znakomitego jak na owe czasy opisu geograficznego Polski. Przemawia za tym to, że zarówno Długosz jak i Mikołaj z Kuzy przebywali równocześnie około roku 1450 w Rzymie, a także fakt umieszczenia na pierwszej nowożytnej mapie Europy środkowej Brzeźnicy – miejsca urodzenia naszego uczonego. Brzeźnica bowiem, jakkolwiek stanowiła w tym czasie dość ważny w skali krajowej punkt komunikacyjny (krzyżowały się tu drogi z Krakowa przez Sieradz do Poznania oraz z Wrocławia przez Wieluń i Radomsko na Ruś), była stosunkowo małą i nieznaną dotychczas w świecie miejscowością.

Powyższe fakty pozwalają przyjąć możliwość, że Jan Długosz przyczynił się do wzbogacenia obcej kartografii wiadomościami o naszym kraju i dość pełnego zaprezentowania polskich miejscowości na pierwszej nowożytnej mapie Europy środkowej, na której znalazła się i jego rodzinna Brzeźnica.

HENRYK SZUBERT

DROGI Z PŁYNNEGO BETONU

NRD (PAI). W pobliżu Gery w NRD powstaje eksperymentalna droga o nawierzchni z płynnego betonu. Przez dodanie do masy betonowej specjalnego środka o nazwie „Viscument", zachowuje ona przez 30 minut właściwości plastyczne umożliwiające równomierne ułożenie nawierzchni, która dopiero po tym czasie zaczyna się wiązać. Drogowcy spodziewają się po nowej metodzie z jednej strony przyspieszenia tempa układania nawierzchni, z drugiej – możliwości zrezygnowania z importu mas asfaltowych.

(jo)

NOWY KABEL PRZEZ ATLANTYK

(PAP). Na Atlantyku trwają prace nad położeniem nowego kabla łączności telefonicznej. Mają one być zakończone do 1983 roku.

Nowy kabel ma umożliwić wprowadzenie równocześnie aż 64 tysięcy połączeń między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Istniejący obecnie kabel podmorski umożliwia prowadzenie równocześnie tylko 4.200 rozmów.

Tak znaczne zwiększenie ilości równoczesnych połączeń, przy pewnym zmniejszeniu grubości i wagi kabla, uzyska się dzięki zastąpieniu przewodów z miedzi przewodami z włókna szklanego.

(kl)

POMUNDIALOWE ŻNIWO

Piłkarskie MŚ zawsze wywołują mnóstwo emocji. Długo przed ich rozpoczęciem typuje się faworytów, rozważa składy uczestniczących zespołów. Tak było i przed hiszpańskim Mundialem. Jako ewentualnych liderów imprezy wymieniano głównie jedenastki Brazylii, RFN i Argentyny. W nich znajdowało się najwięcej piłkarskich gwiazd, te drużyny, zdaniem fachowców, prezentowały najskuteczniejszy futbol. A jednak stało się inaczej. Puchar Świata zdobyli Włosi. Prowadzona przez Enzo Bearzota „Squadra Azzura" (Błękitna Drużyna) dość gładko wysadziła z siodła groźnych rywali. „Staruszkowie", wbrew opiniom, sprostali mundialowym trudom, a **Paolo Rossi** został królem strzelców (6 goli). Również o nim nie mówiło się głośno przed mistrzostwami. Nie grał przecież przez poprzedzające MŚ dwa sezony, nie błyszczał też w ostatnich sprawdzianach. Zdumiał fachowców dopiero pod koniec imprezy i chyba dzięki jego skuteczności Włochom przypadła główna wygrana (puchar plus kilka milionów szwajcarskich franków). Nic więc dziwnego, że ten sympatyczny zawodnik wygrał ogłoszony niedawno plebiscyt francuskiego tygodnika „France-Football" i został laureatem „Złotej Piłki".

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Ryba-wędkarz czyli antenica malabarska

Dziś przedstawiamy kolejną egzotyczną rybę, scharakteryzowaną w Encyklopedii Morskiej pod nr 944 – antenicę malabarską. Niewielka ta rybka, której długość nie przekracza 20 centymetrów, jest o tyle ciekawa, że przy zdobywaniu pożywienia posługuje się... wabikiem. Widzicie nad górną szczęką długi wyrostek zakończony bąblem? Jest to pierwszy promień w płetwie grzbietowej, przeobrażony w wabik. Ryba ta zamieszkuje szelfy tropikalnej strefy Oceanu Indyjskiego i Środkowo Zachodniego Pacyfiku od wschodniej Afryki po Indonezję. Żeruje wśród roślinności dennej i koralowców. Posiada ona zdolność upodabniania się do otoczenia. Niemal niewidoczna, porusza „anteną" wabiąc ofiarę. Kiedy ta się zbliży, atakuje nagłym doskokiem, używając jako napędu płetw piersiowych osadzonych na silnie umięśnionych trzonach. **(wm)**

Repr. **W. Mroczek**

TEŻ PAMIĄTKA!

(PAP). Najdziwniejszym eksponatem, jaki trafił na Wawel w ostatnich kilkudziesięciu latach, jest potężny pniak drzewa, prawdopodobnie – grabu. Pniak ten ofiarowano w Szamotułach ekipie naukowców wawelskich, szukających pamiątek związanych z Janem III Sobieskim i wyprawą wiedeńską, zaś pochodzi on podobno z drzewa, które osobiście król Jan, wracając spod Wiednia, zasadził.

Dar jest nieco kłopotliwy, gdyż nie bardzo odpowiada wystrojowi wawelskich krużganków czy komnat; poza tym – jak twierdzą znawcy – gdyby wszystkie drzewa związane z nazwiskiem Sobieskiego były rzeczywiście przez niego sadzone – nieszczęsny król nigdy nie dotarłby z powrotem do Marysieńki! **(kl)**

Liga Reporterów

RODZINA I JA

CELEM NASZEJ RODZINY JEST POWIĘKSZENIE GOSPODARSTWA

Rodzice prowadzą 5-hektarowe gospodarstwo, ja uczę się w II klasie Technikum Rolniczego. Rodzice moi bardzo lubią swoją pracę. Są przywiązani do ziemi, na której urodzili się i wychowali. Ja również lubię pracę w gospodarstwie. Mam szacunek do tej bardzo ciężkiej i znojnej pracy. Jednak moje zainteresowania są nieco inne, a moim cichym marzeniem jest ukończenie wyższych studiów i podjęcie pracy artystycznej (interesuję się muzyką).

Nasze gospodarstwo jest stosunkowo niewielkie, ale roboty jest w nim bardzo dużo, a praca na roli jest bardzo ciężka. Nie jest prawdą stwierdzenie, że „rolnikom rodzi się i rośnie samo, a on czeka z założonymi rękami." Podział obowiązków jest u nas starannie dobrany i wyznaczony. Zazwyczaj prace polowe i cięższe prace w gospodarstwie wykonuje tatuś – głowa rodziny, ponieważ muszą być one zrobione „fachową ręką". Mamusia zajmuje się domem, gospodarstwem i sprawami zaopatrzenia w środki potrzebne do codziennego życia.

Chciałbym podkreślić rolę kobiety w rodzinie. Musi się ona borykać z setkami spraw i problemów codziennego życia, szczególnie w obecnej, trudnej sytuacji w naszym kraju.

Moimi codziennymi obowiązkami są: wypędzanie i spędzanie krów z pastwiska (w lecie), przynoszenie drewna i węgla do kuchni, obrządek drobnego inwentarza żywego. Poza tym, gdy po przyjściu ze szkoły i odrobieniu lekcji mam wolną chwilę, wówczas staram się pomagać tatusiowi w pracach polowych. Głównym naszym celem jest dokupienie ziemi i powiększenie gospodarstwa, a w efekcie przestawienie się na jeden kierunek produkcji: krowy mleczne. Co z tego zamierzenia wyjdzie – zobaczymy. Jesteśmy dobrej myśli.

Gdy mamy chwilę czasu wolnego, co zdarza się nieczęsto, staramy się go wykorzystać jak najekonomiczniej i spędzić go w gronie rodziny.

„Presley"

NAJWIĘCEJ UCZUCIA MAM DLA BABCI

Kocham swoich rodziców, ale jednak największym szacunkiem i sympatią darzę moją babcię. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż babcia mnie wychowała. To właśnie babcia pierwsza pomagała mi odróżnić dobro od zła. Początkowo opowiadała o strasznych smokach i dzielnych rycerzach, potem o czarnych latach okupacji i pierwszych dniach wolności. Z babcią podzielić się mogę każdym moim problemem. Mamy wspólne sprawy i tajemnice.

Obecnie uczę się w liceum ogólnokształcącym, ale nadal po lekcjach chodzę do mojej babci i pomagam jej w drobnych pracach. Najbardziej jednak lubię zimowe wieczory u babci. Siadamy wtedy we trójkę: babcia, dziadek i ja. W kuchni huczy ogień, na kolanach trzymam mruczącego kota i słucham długich opowieści babci lub dziadka. Mogę ich słuchać w nieskończoność i w gronie tych najbliższych osób czuję, że nic nie brakuje mi do szczęścia.

Dorota z Kutna

TO JEST TO!

Mam 15 lat i jestem szczęśliwa, bo należę do rodziny o takim modelu życia, o jakim nie przestaję marzyć. Mam dobrych, wyrozumiałych rodziców i dwie młodsze siostrzyczki. Rodzice moi urodzili się za rzeką Bug, ale są oczywiście Polakami. Pracują na gospodarstwie rolnym, tato jest rolnikiem, a mama gospodynią domową. Ja uczęszczam do I klasy szkoły średniej, młodsza siostra do I klasy szkoły podstawowej, a najmłodszy członek naszej rodziny ma teraz dwa i pół roku.

Z obowiązkami domowymi to już jest różnie, zazwyczaj największy ich ciężar spada głównie na mamę i trochę na mnie. Gdy chodziłam do szkoły podstawowej, szkołę miałam prawie pod nosem w porównaniu do dzisiejszego stanu rzeczy (dojeżdżam 20 km). Teraz od 7 rano do przynajmniej 16 godz. nie ma mnie w domu. Gdy przyjeżdżam ze szkoły staram się chociaż przez dwie godziny pomóc mamie, a potem do późnych godzin wieczornych ślęczę nad stertą książek, zeszytów i licho wie nad czym jeszcze.

Rodzice moi starają się nam zapewnić dobrobyt w przyszłości, chcą abyśmy wyrosły na dobrych obywateli, na dobrych ludzi.

„Majka"

RÓŻNIĄ MNIE Z NIMI POGLĄDY NA ŻYCIE

Już od dawna mój pogląd na życie różni się zasadniczo od poglądu moich rodziców-rolników. Dla nich wartość człowieka mierzy się jego sakiewką, dla mnie zaś tym, jaki ten człowiek jest. Coraz więcej więc jest między nami sporów, coraz bardziej oddalam się od rodziców. Gdy czytam o tych wspaniałych domach, gdzie „mama jest najlepszą przyjaciółką", nie chce mi się wierzyć, że tak może być naprawdę.

Mogę np. chodzić z chłopakiem, ale musi to być syn najbogatszego gospodarza we wsi. Nic rodziców nie obchodzi, że jest brzydki jak noc i słowa nie można z niego wydusić, byle by tylko był bogaty. Może dlatego, że właściwie nic mi nie brakuje – nie cenię tak pieniądza? Coraz bardziej denerwuje mnie zachowanie rodziców, uważam, że jest ono bardzo przyziemne.

Z wolnym czasem nie mam kłopotów, po prostu nie mam wolnego czasu. Gdyby doba miała 48 godzin i tak by go nie wystarczało. Jeśli mam wolną godzinkę, to idę do koleżanki, gapię się w telewizor lub czytam, co jest w oczach mojej mamy marnotrawstwem czasu czyli przestępstwem. O swojej przyszłości wolę nie myśleć. Boję się, że zmuszą mnie abym wyszła za jakiegoś bogacza, a ja nie będę miała dość sił aby się przeciwstawić.

Asia

MOŻNA TU OGRZAĆ SERCE

„Dom to moja przystań, tak czasem jest mi potrzebne jego ciepło, by ogrzać serce zamarznięte od ludzkiego chłodu". Tak ktoś kiedyś powiedział i te kilka słów jest ważne nadal. Jest ważne teraz. Co prawda mojego serca tak bardzo nie chłodzi ludzka oziębłość, ale zawsze jest dobrze przyjść do domu i wiedzieć, że tu na pewno nie będzie mrozu.

Moi rodzice obydwoje pochodzą z gospodarstw i sami też pracują na gospodarstwie. Oprócz mnie w domu jest jeszcze brat. Moim zdaniem jesteśmy bardzo zgodną rodziną i to właśnie zawdzięczamy rodzicom. Nie widziałam jeszcze aby (przynajmniej w naszej obecności) się kłócili, czy – co gorsze – obrzucali się wyzwiskami. Oczywiście nie obejdzie się bez małych sprzeczek, które przynosi życie, ale są to maciupeńkie spięcia, które zaraz się rozładowują. Jak chyba każda dziewczyna większym zaufaniem darzę matkę. Jest ona dla mnie przykładem w wielu sprawach. Cenię ją za wytrwałość i pracowitość. Cenię za poświęcenie z jakim pracuje na gospodarstwie. Obydwoje są zespoleni z nim, wiele się dla niego wyrzekli. Co do mojego brata, to jak to bywa z bratem... Jest przymilnym „pieseczkiem" i nie umiem mu nie wybaczyć psot i złośliwości. W domu mieszkamy tylko we czwórkę. Oczywiście, jak to w gospodarstwie, wszyscy mają swoje obowiązki. W zależności od pory roku jest ich więcej lub mniej, ale każdy pracuje według swoich sił i umiejętności. Czas, który spędzamy razem, jest raczej krótki. My późno przychodzimy ze szkoły, a rodzice mają pełne ręce pracy. Ale już wieczory i niedziele są przeważnie dla nas. Poza tym zawsze jemy razem obiady i kolacje. To już u nas taki rytuał. Rodzice z pewnością chcą, abyśmy otrzymali wykształcenie i starają się, aby było nam ze sobą dobrze.

Co mi się nie podoba w naszej rodzinie to to, że jest wiele tematów „tabu", że rodzice, a zwłaszcza ojciec, nie traktują nas jak partnerów. Nie podoba mi się również to, że rodzice bardzo mało interesują się naszymi zajęciami pozaszkolnymi i naszymi zainteresowaniami. Zapewne dzieje się tak z braku czasu, ale zawsze... To właśnie nie podoba mi się w naszej rodzinie i jeżeli będę zakładać swoją – postaram się aby nie zaistniały takie sytuacje. Jednak kocham naszą rodzinkę i jak mogę najczęściej ogrzewam swoje serce (choć niezupełnie zmarznięte) w jej cieple.

Krystyna

Spotkania

PIĘKNO?

Kiedy przed tygodniem przekonywałem Gretę, że sens życia można próbować odnaleźć w jego pięknie, nie spodziewałem się, że już dzisiaj będę musiał kontynuować tamtą rozmowę, poszukując z kolei sposobów na znalezienie piękna. Prosi mnie o to Beata z Żurawicy:

„Jest nas dużo na świecie, bardzo dużo, różnych narodowości i ras. Mieszkamy w różnych miejscach i w różnych warunkach. Jesteśmy różni – dobrzy i źli, biedni i bogaci, nowocześni i zacofani. Większość z nas jest pochłaniana przez trudności dnia codziennego. Borykając się z nimi, często nie znajdujemy czasu na nic innego. Nieraz dochodzimy do wniosku, że życie to nie ma sensu. Ale znów inni twierdzą, że jest piękne. Więc gdzie jest to jego piękno? Można znaleźć je w przyrodzie, sztuce, muzyce, ale to trzeba umieć, a czy każdy to potrafi? Artyści, tworząc swe dzieła, tematy do nich czerpali z samego życia, a więc jest w nim piękno. Co trzeba robić, by je znaleźć? Czy to zależy od samego człowieka, czy od sposobu jego myślenia, patrzenia, bo przecież powiedziano, że „piękno leży w oczach patrzącego"? Może to nasze życie naprawdę jest piękne, tylko trzeba to piękno w nim znaleźć. Ale jak nauczyć się patrzeć na życie, by to w nim znajdować? Napisz, proszę, co o tym sądzisz – czy szukasz i w czym znajdujesz piękno życia?"

Beato, muszę Ci się przyznać, że gdybym nie wierzył w piękno życia, utraciłbym chyba również wiarę w jego sens. Kiedy przed laty wędrowałem z przyjaciółmi po Pieninach, w czasie jednej z rozmów na szlaku próbowaliśmy określić jak najkrócej, jakie właściwie jest życie. Każdy z nas miał do dyspozycji tylko jedno określenie, więc razem zgodziliśmy się na to, że życie jest jedyne, skomplikowane, niepowtarzalne i piękne. Ale czyż nie jest piękne dlatego, że jedyne i niepowtarzalne? Czy nie jest piękne dzięki temu, że zwycięsko udaje się nam pokonywać jego komplikacje? To prawda, że nie zawsze. I dlatego prawdą jest również to, że piękno życia ginie czasem przysłonięte koszmarem brzydoty i przeciwności, które są nie tylko złym snem. Ale obok nich piękno jest jeszcze piękniejsze...

Słońce tonące o zachodzie w morzu, tęcza rozpięta na niebie po burzy, kolorowa kwiatami łąka, śpiewne „Ave Maria", jakiś motyw z Chopinowskiego preludium, pierwsze akordy fortepianowego koncertu Czajkowskiego, tajemniczy uśmiech Giocondy, idealne kształty Venus z Milo, geometria wawelskich krużganków... Piękno opiewane już tyle razy, że stało się banalne, straciło wiele ze swego blasku. Piękno odkrywane ciągle na nowo, które wciąż jeszcze zachwyca...

Piękno zwycięstwa nad sobą samym, gdy zagryzając usta mija się gdzieś w ogonie linię mety. Piękno samodzielnego odkrycia, do którego dochodziło się z uporem, nie patrząc na wydeptane już ścieżki. Piękno uśmiechu kogoś, kto pozostał nam wierny, gdy inni się od nas odwrócili.

Piękno leży w oczach patrzącego... Tak, masz rację. Jeśli mamy go w sobie wystarczająco dużo, możemy nim pomalować cały świat nawet w najbardziej pochmurny dzień. Naszym pięknym wspomnieniem możemy je nadać najbrzydszemu zakamarkowi szarego podwórza, koszmarnej maskotce, wystrzępionemu kawałkowi papieru z kilkoma nabazgranymi słowami. Naszym pięknym wspomnieniem, za którym kryje się najczęściej ktoś drugi.

Bo tak naprawdę najpiękniejszy jest właśnie Człowiek. Tak jak życie – jedyny, skomplikowany, niepowtarzalny. Piękniejący w naszych oczach, gdy go kochamy.

„Kształtem miłości piękno jest – i tyle, ile ją człowiek oglądał na świecie, w ogromnym Bogu albo w sobie-pyle, na tego Boga wystrojonym dziecię; tyle o pięknem człowiek wie i głosi – choć każdy w sobie cień pięknego nosi każdy – każdy z nas – tym piękna pyłem" – napisał w „Promethidionie" Cyprian Kamil Norwid.

Piękno greckich bogiń i bogów, których czczono i kochano. Piękno macierzyńskiej miłości z Rafaelowych portretów Madonny. Piękno zaklętego w drewnie życia, które kochał Wit Stwosz. Piękno tylu portretowanych przez najsłynniejszych malarzy kobiet...

Oczywiście zmieniały się przez wieki kryteria piękna, zmieniała związana z miłością obyczajowość. A jeśli piękno znikało w ogóle?

Punkowcy – dzieci-śmieci... Świadomie podkreślana brzydota ubioru i wyglądu. Prymitywna muzyka. Czy również prymitywne życie? A może życie bez piękna, bo życie bez miłości? Ucieczka? Niemożność? Chęć wyróżnienia się za wszelką cenę? Zniknięcia w dyskotekowym czy koncertowym tłumie?

Licealistki z niewielkiej miejscowości napisały do mnie o swych samotnych dyskotekach, w czasie których chłopcy i dziewczęta bawią się osobno, choć one same chciałyby, żeby było inaczej. I taniec – łączący piękno i radość – staje się powodem rozczarowań i smutków. A więc tłum nie jest rozwiązaniem, a w każdym razie nie dla wszystkich.

Tak, życie jest skomplikowane. A piękno?

„Najpiękniej jest, kiedy piękna nie czuje się zgoła i tylko jest się, po prostu tak, jak jest wszystko dokoła" – podpowiada mi Leopold Staff.

Więc, bądź, Beato – po prostu ale i naprawdę – bądź! A piękno Cię nie ominie...

Janek

REDAKCYJNA POCZTA

Przyjaźń nie jest dla egoistów

Mam 16 lat, bardzo interesują mnie sprawy młodzieży. W wielu czasopismach istnieją kąciki, w których zamieszczane są adresy ludzi samotnych, poszukujących przyjaźni. Rodzi się pytanie: dlaczego tak jest? To, że młodzi ludzie potrzebują i szukają prawdziwej przyjaźni jest rzeczą zrozumiałą. Ale dlaczego aż za pośrednictwem gazet?

Moim zdaniem dzieje się tak dlatego, że ciągle rozczarowujemy się w stosunku do ludzi, których spotykamy w swoim otoczeniu. Dochodzimy do wniosku, że dana znajomość, to kolejna nasza pomyłka, że to nie ten człowiek, którego szukaliśmy.

Chyba każdy miał kiedyś taką sytuację, w której był mu potrzebny ktoś bliski, ale nie mama, siostra czy brat, lecz ktoś, komu można zaufać, zwierzyć się z kłopotów, kto umiałby służyć nam radą i pomocą. Nie oznacza to, że taki „ktoś" potrzebny jest tylko na pochmurne dni. Chodzi o to, by uczestniczył także w naszych radościach. A my powinniśmy odpłacić się tym samym. Jednak okazuje się, że większość z nas lubi obarczać drugą osobę kłopotami, a od cudzych ucieka. Chciałabym na końcu dać radę moim rówieśnikom: Przyjaźń nie jest dla egoistów, aby otrzymywać, należy także i dawać.

Elwira

Dla nich to są żarty, a ja cierpię

Mam poważne problemy, ponieważ moja klasa gardzi mną. Koledzy przezywają mnie ELEW. Nie mogę się do nikogo odezwać, bo zaraz się śmieją, kopią i plują. Jestem dobrym uczniem, lubię się uczyć, pomagam mamie w domu.

Czy dlatego mnie nie lubią? Chciałbym dojść z nimi do porozumienia. Co mam zrobić? Proszę, wydrukujcie mój list, może się zmienią i zrozumieją, że dla nich są to żarty, a ja cierpię. Czekam na listy, poradźcie co mam zrobić.

Arkadiusz Kasztelan

Przecież nie mam piegów

Chodzę do VII klasy. Jestem „nową". Na początku roku szkolnego wszyscy byli dla mnie mili, starali się zdobyć moją sympatię i zaufanie. Teraz wszystko się zmieniło. Koleżanki tak się zachowują, jakby się mnie wstydziły. Cały czas chodzę sama. Czy naprawdę jestem taka straszna? Przecież nie mam piegów ani odstających uszu. Bardzo chciałabym nawiązać z nimi kontakt. Jak się do tego zabrać?

Sękowata

OD REDAKCJI: Z listu wynika, że Twoja niezbyt miła sytuacja w klasie została spowodowana przede wszystkim Twoim zachowaniem. Jeśli wszyscy starali się zdobyć Twoją sympatię i zaufanie, to znaczy, że nie byli z góry uprzedzeni do „nowej", jak to się czasem zdarza, ale próbowali Cię wciągnąć w życie klasy. Postaraj się naprawić swój błąd i bądź koleżeńska, serdeczna, a na pewno bardzo szybko zostaniesz przyjęta do klasowej grupy. A na marginesie chcemy zwrócić Twoją uwagę na fakt, że piegi czy odstające uszy wcale nie przeszkadzają w zdobyciu sympatii. Wręcz odwrotnie, najczęściej ludzie piegowaci i „uszatki" okazują się szalenie lubianymi kompanami. (mi)

Sprawy młodzieży

I TY MOŻESZ ZOSTAĆ KONSULTANTEM MINISTRA

Od blisko pół roku przy Urzędzie Rady Ministrów działa **Biuro do spraw Młodzieży**. Powstało ono w niedługim czasie po powołaniu przez Sejm na stanowisko ministra ds. młodzieży **Andrzeja Ornata**, którego większość czytelników „Świata Młodych" zapewne zna doskonale, jako do niedawna jeszcze naczelnika Związku Harcerstwa Polskiego.

Tworzenie przez władze specjalnych „młodzieżowych" instytucji i stanowisk świadczy o tym, że do problemów młodzieży przykłada się dziś dużą wagę. Nie trzeba chyba specjalnie tłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Od rozwiązania kwestii młodych, od zabezpieczenia młodemu pokoleniu odpowiednich warunków do życia, pracy, nauki zależy wszak przyszłość naszego narodu i państwa.

Od samego powstania Biura ds. Młodzieży jego pracownikom nie brakuje zajęć. Ich praca służy zarówno min. Oratowi jak i powstałemu w ub. roku **Komitetowi Rady Ministrów ds. Młodzieży, który pod przewodnictwem wicepremiera – Mieczysława F. Rakowskiego** na swych obradach rozpatruje najważniejsze dla polskiej młodzieży zagadnienia. Komitet zajmował się już m.in. wypoczynkiem wakacyjnym młodzieży, nowymi formami rozwoju budownictwa mieszkaniowego, zachętami dla młodych do pracy w rolnictwie, doskonaleniem systemu kredytów dla młodych małżeństw.

Lista spraw, jakie podejmować będzie Komitet ds. Młodzieży w najbliższych miesiącach, jest bardzo długa. Znajduje się na niej: program działalności kulturalnej, rozwój młodzieżowych spółdzielni pracy, kryteria awansu zawodowego, ocena stanu kultury fizycznej. Przyjdzie też kolej na cały kompleks spraw związanych z kształceniem, dotyczących np. upowszechnienia wykształcenia średniego, nowej koncepcji rekrutacji na studia.

Chociaż działalność „młodzieżowych" instytucji skupia się na zagadnieniach systemowych, nie brak w ich pracy również spraw indywidualnych zgłaszanych bezpośrednio przez młodych ludzi, którzy nie znaleźli zrozumienia i poparcia w innych ogniwach administracji. Ze swoimi często trudnymi, bolesnymi sprawami przychodzą więc na Krakowskie Przedmieście do Biura ds. Młodzieży. Niekiedy, jak w wypadku młodych ludzi dotkniętych skutkami ubiegłorocznej powodzi, udaje im się szybko pomóc.

Niektóre sprawy, jakimi zajmuje się komitet, biuro i sam minister do spraw młodzieży, wydawać się mogą Wam – czytelnikom „ŚM" bardzo odległe., „dorosłe". W końcu kredyty „MM", czy spółdzielnie pracy na razie Was bezpośrednio nie interesują, raczej starsze rodzeństwo, a niekiedy i rodziców. Nie brak jednak i takich zagadnień, jak choćby związanych ze szkołą, kulturą, sportem, wypoczynkiem, które dotyczą właśnie, Was.

Pamiętajmy też jeszcze o jednym – rejestr spraw, jakimi zajmuje się minister Ornat, i „jego ludzie" nie jest zamknięty. Ministra – jak sam deklaruje – interesują wszystkie problemy Polaków w wieku „od zera do trzydziestu:.. lat". Wydłużyła się bardzo młodość w naszym kraju, takie są jednak realia społeczne i trzeba się z nimi liczyć. Stąd też właśnie w pracach „młodzieżowych" instytucji tyle na pozór „dorosłych" spraw.

Przy opracowywaniu poszczególnych problemów Biuro ds. Młodzieży korzysta z pomocy wielu konsultantów, zasięgając opinii w różnych kręgach młodzieży po to, by każdy temat był wszechstronnie poznany i przedstawiony następnie zgodnie z intencjami samej młodzieży.

I Wy możecie stać się takimi konsultantami. Za pośrednictwem „Świata Młodych" możecie przez najbliższy miesiąc pisać do min. Ornata, zadawać mu pytania, przedstawiać problemy, którymi – według Was – winien się w swojej pracy zająć. Zastanówcie się, czy w Waszej rodzinie, na podwórku, w szkole, w organizacji stykacie się z takimi sprawami, o których minister do spraw młodzieży powinien wiedzieć.

Obiecujemy, że wszystkie sprawy przekażemy min. Ornatowi, a jego samego poprosimy o wywiad, który zamieścimy na naszych łamach. To, o co będziemy pytać ministra – zależy od Was. Do końca lutego czekamy na Wasze listy. Na kopertach wysłanych na adres naszej redakcji: Warszawa 00–561 ul. Mokotowska 24 dopiszcie: „Pytanie do ministra". (mas)

W Europie: Rossi pierwszy, Boniek trzeci, w Ameryce: Zico

POMUNDIALOWE ŻNIWO

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

„Złota Piłka" przyznawana jest od roku 1956, a kandydata do niej typują dziennikarze 26 krajów, zagraniczni korespondenci „FF". Jest to więc plebiscyt, a zatem sprawiedliwy wybór ostatecznego triumfatora. Każdy z korespondentów ma prawo do przedstawienia pięciu kandydatów, przyznając im odpowiednią ilość punktów (od 5 do 1). Suma uzyskanych punktów decyduje o ostatecznych rezultatach plebiscytu. Rossi uzyskał ich aż 115. Trzeba przyznać, że jego zwycięstwo, z przyczyn opisanych powyżej, nie stanowiło zbyt wielkiej niespodzianki. Znalazł się on na listach 24 ankietujących, w tym 21 razy na czołowym miejscu.

Drugą pozycję wywalczył maleńki Francuz **Alain Giresse** (najlepszy piłkarz i sportowiec znad Loary ubiegłego roku). Trzecia lokata przypadła naszemu, grającemu obecnie we włoskim „Juventusie", **Zbigniewowi Bońkowi.** Boniek powtórzył zatem sukces Kazimierza Deyny, który 8 lat wstecz w konkursie o „Złotą Piłkę" dał się wyprzedzić tylko Cruyffowi (Holandia) i Beckenbauerowi (RFN).

Wysoka pozycja Zbigniewa Bońka także nie stanowi zaskoczenia. Był on przecież głównym autorem mundialowych zwycięstw biało-czerwonych, doskonale spisuje się też w nowej drużynie. „Zibi", tak nazywają go włoscy kibice, jest filarem „Juventusu" Turyn i prezentuje się znacznie lepiej aniżeli występujący obok niego Francuz Michel Platini i... Paolo Rossi.

Na tegorocznej liście „FF" znalazło się 19 zawodników (na tylu oddano głosy). Znamiennym faktem jest, że aż 6 z nich występuje w barwach „Juventusu" (Rossi – 1 miejsce, Boniek – 3, Zoff – 8, Platini – 9, Scirea – 12, Tardelli – 15). Mają się więc z czego cieszyć mieszkańcy stolicy „Fiata" i chyba ze spokojem mogą oczekiwać na kolejne występy swojej jedenastki.

Tuż przed ogłoszeniem wyników „FF" rozstrzygnięto amerykański odpowiednik francuskiego plebiscytu – wenezuelski konkurs gazety „El Mundo". Odbywa się on na identycznych zasadach jak „Złota Piłka" i nazywa się „elekcją na najlepszego piłkarza Ameryki". Już po raz drugi z rzędu i po raz trzeci elekcję wygrał Brazylijczyk **Zico,** przed swoim rodakiem Falcao i Argentyńczkiem Maradoną (obecnie w „Barcelonie").

Tak więc bohaterzy hiszpańskich mistrzostw nadal zbierają pochwały, chociaż niektórzy z nich nie grają już tak skutecznie jak podczas Mundialu '82. Ale zdobyta raz sława procentować będzie jeszcze długo. (**zp**)

Fot. **archiwum**

Dotychczasowi zwycięzcy ankiety „El Mundo"

1971 – Cubillas (Peru)
1972 – Tostao (Brazylia)
1973 – Pele (Brazylia)
1974 – Figueroa (Chile)
1975 – Figueroa (Chile)
1976 – Figueroa (Chile)
1977 – Zico (Brazylia)
1978 – Kempes (Argentyna)
1979 – Maradona (Argentyna)
1980 – Maradona (Argentyna)
1981 – Zico (Brazylia)
1982 – Zico (Brazylia)

Wyniki tegorocznego plebiscytu „FF"

1.	Rossi (Włochy)	115	pkt.
2.	Giresse (Francja)	68	„
3.	Boniek (Polska)	53	„
4.	Conti (Włochy)	48	„
5.	Rummenigge (RFN)	47	„
6.	Dasajew (ZSRR)	17	„
7.	Littbarski (RFN)	10	„
8.	Zoff (Włochy)	9	„
9.	Platini (Francja)	5	„
10.	Schuster (RFN)	4	„

Dotychczasowi zwycięzcy ankiety „FF"

1956 – Matthews (Anglia)
1957 – Di Stefano (Hiszpania)
1958 – Kopa (Francja)
1959 – Di Stefano (Hiszpania)
1960 – Suarez (Hiszpania)
1961 – Sivori (Włochy)
1962 – Masopust (CSRS)
1963 – Jaszyn (ZSRR)
1964 – Law (Szkocja)
1965 – Eusebio (Portugalia)
1966 – B. Charlton (Anglia)
1967 – Albert Węgry)
1968 – Best (Irlandia)
1969 – Rivera (Włochy)
1970 – Mueller (RFN)
1971 – Cruyff (Holandia)
1972 – Beckenbauer (RFN)
1973 – Cruyff (Holandia)
1974 – Cruyff (Holandia)
1975 – Błochin (ZSRR)
1976 – Beckenbauer (RFN)
1977 – Simonsen (Dania)
1978 – Keegan (Anglia)
1979 – Keegan (Anglia)
1980 – Rummenigge (RFN)
1981 – Rummenigge (RFN)
1982 – Rossi (Włochy)

POLSKIE RODOWODY

Życie prawdziwe (3)

„W SERCU JEJ OGIEŃ BUNTOWNICZY PŁONĄŁ"

(DOKOŃCZENIE Z POPRZEDNIEGO NUMERU)

W poprzednim numerze opowiedziałam o szkolnych latach Marii Bohuszewiczówny, dziś chcę przedstawić kształtowanie się poglądów przyszłej następczyni Ludwika Waryńskiego.

Jest rok 1882, Warszawa liczy około 350 tysięcy mieszkańców. Wśród robotników szerzy się nędza. Marynia Bohuszewiczówna ma 16 lat, opiekuje się młodszym bratem i trzema małymi dziewczynkami: swoją siostrą Zosią i osieroconymi córkami ciotki. Ma też na głowie duży dom oraz chorego ojca załamanego po śmierci żony...

W kwietniu 1882 roku zastrajkowało 2 tysięce robotników z warsztatów naprawczych Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Robotnicy stawiali żądania polepszenia warunków pracy.

Ludwik Waryński wydalony po krakowskim procesie z Austrii, przyjechał nielegalnie do Warszawy ze Szwajcarii, gdzie przebywał, i w lipcu wydał odezwę skierowaną do robotników. Jedno zdanie tej odezwy brzmiało: ,,***Nie opuszczajmy walki rozpoczętej w imię praw naszych***"

Maria Bohuszewiczówna czytała tę odezwę, ale opiekując się chorym ojcem nie mogła włączyć się do działalności politycznej. Wkrótce powstał program pierwszej polskiej partii robotniczej. Była to Socjalno-Rewolucyjna Partia Proletariat. Jedyna ówczesna broń robotników – strajki – następowały jedne po drugich. W Żyrardowie, gdy zmniejszono robotnicom i tak już nędzne zarobki, strajk zapoczątkowały kobiety. Dołączyły się do nich tysiące robotników. Rozruchy trwały 9 dni. Wojsko i żandarmeria zostały wezwane do wprowadzenia ,,porządku". Zdemolowano robotnicze mieszkania, doszło do ofiar w ludziach; zginęło trzech robotników. Przywódcy Proletariatu poparli żywiołowy protest robotników i podtrzymywali ich na duchu.

W czerwcu 1883 roku umarł ojciec Marii Bohuszewiczówny. Ona sama też zapadła na zdrowiu, gdyż gruźlica i jej nie oszczędziła... Marynia parę tygodni przeleżała w sosnowym lesie na wsi, a gdy – jej zdaniem – stan zdrowia się polepszył wróciła do Warszawy, by zająć się rodziną.

Tymczasem w Warszawie powstał Komitet Centralny Proletariatu, a przy jego boku działało Towarzystwo Czerwonego Krzyża, którego zadaniem było niesienie pomocy więźniom politycznym oraz ich rodzinom. Maria postanowiła – jak zapisała w swoim pamiętniku – ,,*poszukać drogi, która ją od dawna ciągnęła ku sobie*". W jej domu zaczęły się teraz odbywać spotkania, na których m.in. bywał również Waryński. Maria miała już 18 lat. Związek z działalnością Czerwonego Krzyża nie zadowalał jej, marzyła o wstąpieniu do Proletariatu. Czy wiedziała wówczas, że Waryński jest przywódcą tej organizacji? Z pewnością nie, konspiracja była pełna.

Traf zarządził, że Ludwik Waryński zostawił w sklepie paczkę z rewolucyjnymi pismami. Został uwięziony. Na czoło Proletariatu wysunął się wówczas 22-letni Stanisław Kunicki, znany Marii z wieczornych spotkań w jej domu. W tym okresie ona pełniła już kierowniczą rolę w Czerwonym Krzyżu. Kiedy jeden z członków Proletariatu – Agaton Zagórski – doprowadzony do obłędu w więzieniu opowiedział wszystko o działalności partii, w murach warszawskiej Cytadeli znalazło się przeszło 200 rewolucjonistów.

Maria została wtajemniczona w działalność organizacji, a wkrótce, mając lat dziewiętnaście, stanęła na jej czele, skupiając wokół siebie ocalałych od aresztowań działaczy. Praca była niebezpieczna, carska żandarmeria szalała, a tu należało nawiązać pozrywane kontakty. Ponieważ spotkania w mieszkaniach były niebezpieczne, postanowiono zgromadzić się w lesie koło Rembertowa. Na spotkanie przybyło ponad 30 działaczy, narada trwała cały dzień. Bohuszewiczówna mówiła o konieczności przygotowań do dalszej walki klasy robotniczej. W tym okresie przeżyła osobisty zawód. Człowiek, którym się zainteresowała, młody publicysta – Adam Zakrzewski – odmówił udziału w partii Proletariat, widząc swój cel jedynie w półlegalnej pracy dla wiejskiego ludu. Maria sama musiała podołać zadaniom jakie przed nią stały. Opracowała projekt statutu organizacyjnego Proletariatu. 17-letni wówczas jej brat Janek pomagał w drukowaniu odezwy.

Podejmowała kontakty z coraz innymi grupami robotników, wyjaśniała wątpliwości, namawiała do samokształcenia. Konflikty między fabrykantami i robotnikami nasilały się. Nędza i bezrobocie były coraz dotkliwsze. Zwłaszcza kobiety nie miały środków do życia, toteż Maria zaczęła organizować dla nich warsztaty pracy, wykorzystując formy działania spółdzielczego.

W introligatorni zaś, którą otwarto w jej domu, wklejała w twarde okładki książek zaszyfrowaną korespondencję, przeznaczoną dla więźniów Cytadeli. Przesłano w ten sam sposób cieniutkie pilniki do przecinania krat, ponieważ kilku Proletariatczyków planowało ucieczkę. Dostarczano też więźniom atramentu sympatycznego, aby na kartkach zwracanych książek mogli napisać jak przebiega śledztwo itp...

Maria Bohuszewiczówna około r. 1885

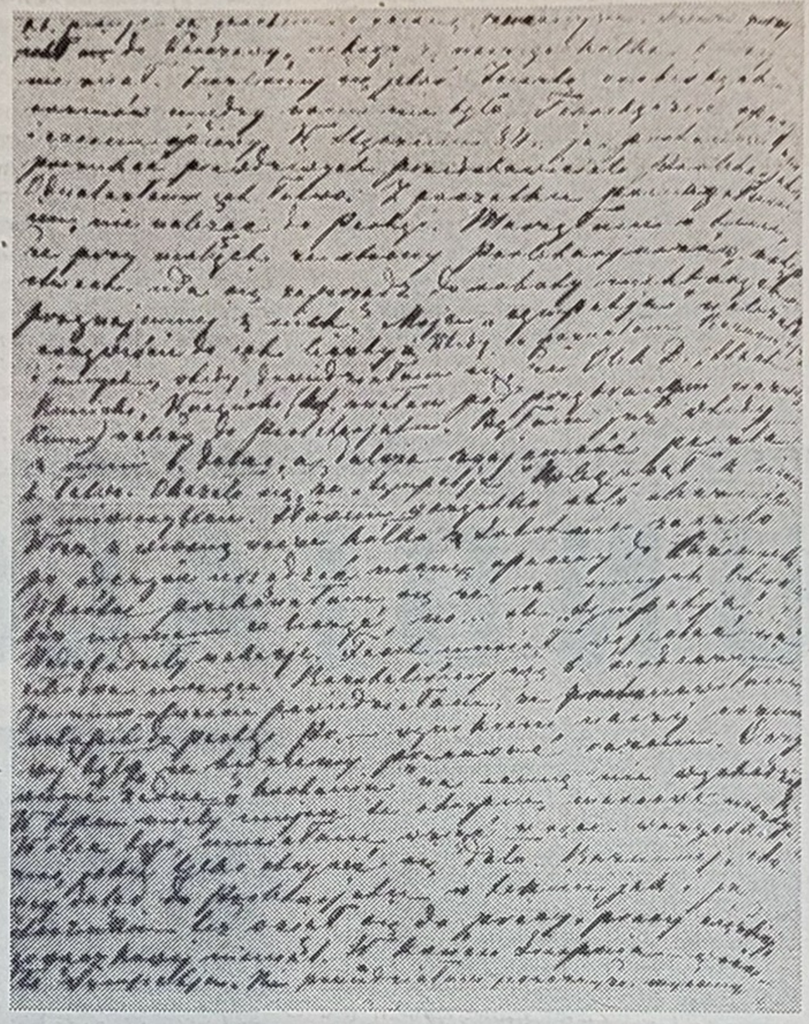

Fragment „Pamiętnika" Marii zamieszczonego w książce Dionizy Wawrzykowskiej-Wierciochowej pt. „Kościuszkowska prawnuka", poświęconej Bohuszewiczównie

Władze carskie były wtedy przekonane, że partia socjalistyczna została już zlikwidowana, gdy pojawiła się nowa odezwa, datowana 4 marca 1885 r. Kończyły ją słowa: *Wzywamy wszystkich naszych braci robotników w imię praw człowieka pod jeden nasz sztandar, pod jedno hasło ,,Swobody, Fabryk i Ziemi"! Wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli do walki z jarzmem gniotącym ludzkość.*

Generał – gubernator Warszawy, Hurko, przestraszył się i wydał rozporządzenie wysiedlenia z miasta wszystkich bezrobotnych, którzy nie mieli warszawskich paszportów. Kiedy to okazało się niemożliwe (bezrobotni byli warszawiakami) rozporządzenie kazało wysiedlać robotników nie mających w danej chwili określonego zajęcia. Wiele robotniczych rodzin musiało opuścić Warszawę...

W tajnej drukarni (którą Maria urządziła w przejściowym podwórzu w niby to pralni) wydrukowano nowy statut Proletariatu oraz ostrzeżenie skierowane do fabrykantów i majstrów, a także m.in. broszurę ,,O kryzysach i ich przyczynach". Rozpoczęto też tutaj druk szóstego numeru czasopisma ,,Proletariat". Prowadzący śledztwo w Cytadeli podpułkownik Bielanowski wiedział już jednak wszystko i tylko czekał by zastawić sidła.

Zdrajca znajdował się w najbliższym otoczeniu Marii. Śledzono więc wszystkie jej poczynania. Ostatnie zebranie KC partii Proletariat odbyło się poza jej domem. Było to 28 września. Czekano na Bohuszewiczównę w bramie, gdy z tego zebrania wracała około 11 wieczorem. Kiedy wprowadzono ją do jej własnego mieszkania przywitał ją osobiście ppłk. Bielanowski. Gdy zobaczyła znalezioną w kuchni skrytkę – wiedziała, że to zdrada (zdrajcą i donosicielem okazał się niejaki ,,Pierzyna" czyli Stanisław Piński).

Osadzono ją w X Pawilonie. Już z pierwszych przesłuchań zorientowała się, że żandarmi wiedzą prawie wszystko. Traktowano ją jako przywódcę. Cała ,,grupa Marii Bohuszewicz" jak notowano w aktach, tej wrześniowej nocy znalazła się w więzieniu. To nowe śledztwo i jego wyniki miały stać się dodatkowym argumentem dla prokuratora do oskarżenia 29 Proletariatczyków – głównych oskarżonych, oddanych pod sąd wojskowy (wielu już wcześniej skazano i wywieziono na Sybir).

Maria odmawiała zeznań. Osadzono ją w karcerze, ale i to nie załamało dziewczyny. Nastąpiła przerwa w przesłuchaniach trwająca do połowy listopada 1885 do marca 1886 roku. Władze zajmowały się teraz finałem procesu 29 Proletariatczyków. W grudniu 1885 roku ogłoszono i wkrótce wykonano wyroki: sześciu stracono na szubienicy. Waryński i Janowicz zostali skazani na twierdzę w Szlisselburgu, innych wysłano na katorgę. Bohuszewiczówna przypłaciła tę wieść ciężką chorobą... Uwięziono również jej brata Janka.

We wrześniu 1886 roku, a więc w rok po aresztowaniu, śledztwo dotyczące Marii i jej grupy zostało zakończone. Marię skazano na 5 lat więzienia na Syberii Wschodniej bez prawa powrotu do kraju. Janek Bohuszewicz został skazany na Syberię Zachodnią.

15-letnia siostra Marii – Zosia, teraz opiekunka dwóch sierot po ciotce, obawiała się, że Marynię wywiozą nocą bez pożegnania, które wedle prawa rodzinie przysługiwało. Wystarała się więc o przepustkę. Miała jeszcze sposobność widzieć się z siostrą dwukrotnie. Tylko Adam Zakrzewski nie miał się już z Marią spotkać. Zosia przyniosła do więzienia przekazane przez niego róże. 10 czerwca w aresztanckim wagonie Maria spotkała swojego brata... Zaczęła się długa podróż do miejsca przeznaczenia. Podróży tej Maria nie dokończyła.

2 listopada Zosia Bohuszewiczówna otrzymała depeszę z wiadomością, że Maria zmarła w Krasnojarsku.

Józef Karol Potocki w warszawskim ,,Głosie" opublikował tekst, w którym napisał, że zmarła ta, w której ,,**sercu ogień buntowniczy płonął, a w głowie roiły się myśli o jakichś zwycięstwach prawdy nad fałszem, o jakichś krzywd wyrównaniu, o uśmierzeniu cierpień**". Było to wspomnienie poświęcone Marii Bohuszewiczównie, którą on wymienił jako ,,Marię B", by carska cenzura nie wiedziała o kogo chodzi...

A. GRZYBOWIECKA

Fot. archiwum

Saltem przez życie (6)

KLOWNADA

Podstawą każdego programu cyrkowego jest klownada. Pojawienie się na arenie komików przedstawiających krótkie scenki komiczne, zwane repryzami, zawsze wywołuje śmiech wśród dzieci i dorosłych. Ale żeby było bardzo śmiesznie, potrzeba ciekawego repertuaru, odpowiednich kostiumów i rekwizytów oraz – sprawa najważniejsza – utalentowanych wykonawców.

Wymagania stawiane komikom są wysokie. Powinni oni znać kilka dyscyplin cyrkowych i elementy pantomimy, posiadać umiejętności gry na instrumencie muzycznym i predyspozycje aktorskie, a nade wszystko potrafić śmieszyć i bawić widownię. Ponadto muszą stworzyć nowy, oryginalny typ, wykorzystując do tego celu własną postać i niewątpliwą osobowość. Cały świat zna i podziwia po dzień dzisiejszy charakterystyczną postać Chaplina. I choć popularność swoją zdobył w kinie, jest wzorem dla artystów areny, ponieważ działał środkami podobnymi do stosowanych przez klownów. Nie używał słów, lecz śmieszył gagami i humorem sytuacyjnym. Posiadał przy tym niezwykłą sprawność fizyczną.

Jednym z popularniejszych współcześnie komików jest Oleg Popow. Prezentuje on styl klowna wesołego, a repryzy wykonywane przez niego posiadają wiele treści lirycznej i zaskakujący finał. Oleg Popow popularność swą zawdzięcza festiwalom cyrkowym organizowanym w różnych krajach, gdzie zdobywał przeważnie pierwsze miejsce. Mniej znanym, lecz również niezwykle utalentowanym komikiem, był nieżyjący już Engibarow z ZSRR, który często sam był autorem granych przez siebie repryz. Zawarł on w nich element filozofii połączony z ciekawym trikiem cyrkowym. Jego występ zawsze wzruszał, pobudzając do łez lub śmiechu.

Istnieje kilka rodzajów klownady, zależnie od potrzeb i sytuacji. **Klown dywanowy** na przykład występuje w przerwach pomiędzy poszczególnymi numerami, współpracuje z uniformą przygotowującą rekwizyty i arenę do następnego numeru. Często występy te polegają na improwizacji, a finał następuje wraz z zakończeniem przygotowań areny do dalszych popisów.

Klown-treser występuje w otoczeniu zwierząt, które są jego partnerami w rozgrywanych scenkach. Może to być pies, który sam odwiązuje sobie smycz, kiedy jego pan tego nie widzi. Kot, który udając tygrysa skacze na swojego tresera lub prześladuje go przez czas trwania scenki, aż do momentu wzajemnego pogodzenia się. Znane są także parodie poszczególnych numerów. Na przykład na arenę wychodzi komik strzelając siarczyście z bata, a za chwilę wybiega gromadka psów ucharakteryzowanych na wzór tresowanych koni. I odbywa się numer typowej tresury koni, tylko że zamiast pięknych arabów po arenie biegają psy.

Muzykalna klownada znana była już w XI–XIII wieku, kiedy przy dźwiękach bębnów i piszczałek popisywano się różnymi żartami. Wygrywano też melodie na butelkach z wodą, grano na pile, garnkach i rozmaitych dzwonkach. Dość popularna jest repryza, kiedy komik zaczyna grać na trąbie, a konferansjer mu ją odbiera. Klown wyjmuje wobec tego harmonijkę, konferansjer dalej robi swoje. Cała zabawa może trwać bardzo długo, bo uparty muzykant wciąż wyciąga nowe, coraz to dziwaczniejsze instrumenty, na których z wielkim talentem wygrywa rozmaite melodie.

Wreszcie **scenka komiczna – bufonada** (z włoskiego ,,buffonata", co oznacza w tym języku żart). Charakterystycznymi postaciami tego typu klownady jest Biały i Rudy. Typy te zbudowane są na zasadzie kontrastu: Biały – elegancki i mądry oraz Rudy – w ognistej peruce, o stających dęba włosach i przeraźliwie długich butach. Posiada śmieszny krok i niezgrabne maniery. Repertuar ich oparty jest na mądrości i dowcipie Białego oraz na niezgrabności tak umysłowej, jak i fizycznej Rudego.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

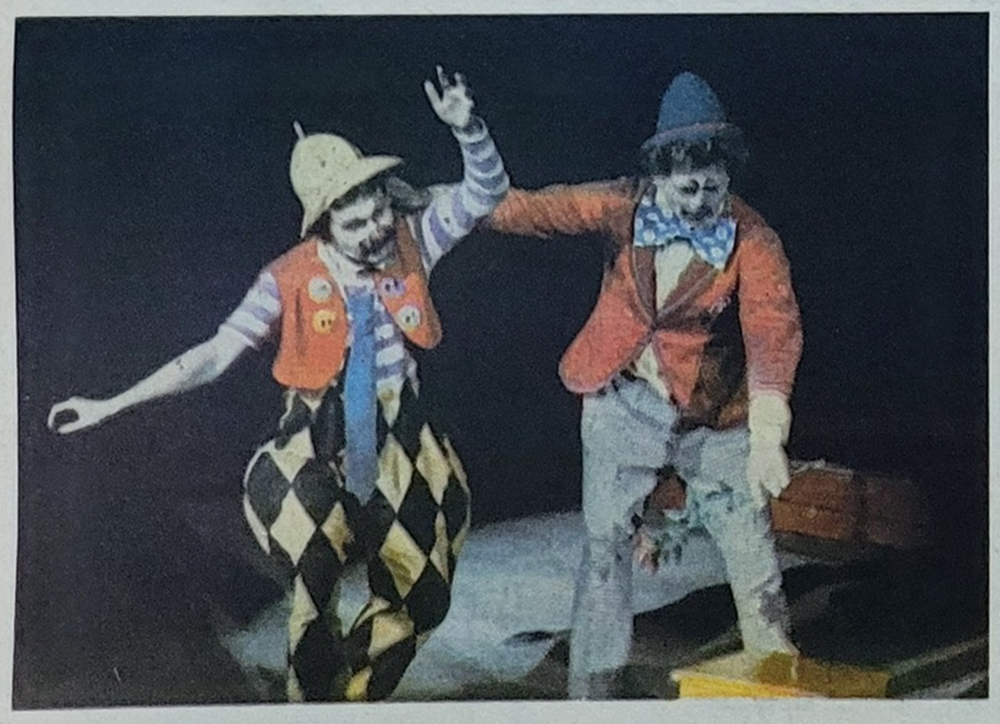

Klownom wyborowym – Leszkowi Izdebskiemu i Mieczysławowi Kaczmarowskiemu nie oprze się nawet największy ponurak...

Fot. Z. Bisanz

CO DALEJ ÓSMA KLASO

BUTY NIE TYLKO DLA NAPOLEONA

Pasją pana Brunona jest odtwarzanie obuwia zabytkowego. Poznawaniu wzorów i technik wykonania butów sprzed setek lat, mistrz poświęca każdą wolną chwilę.

Podczas niedzielnego spaceru po warszawskiej Starówce odwiedziłam Muzeum Cechu Rzemiosł Skórzanych im. J. Kilińskiego. Istnieje ono od 10 lat i mieści się w trzech niewielkich salkach przy Wąskim Dunaju 10. Można tu obejrzeć takie eksponaty, jak pamiątkowe stare księgi i druki Cechu, wyposażenie dawnego warsztatu rzemieślniczego, wyroby użytkowe sztuki szewskiej pochodzące z wykopalisk, różne przedmioty historyczne, m.in.: buty i inne pamiątki ze skóry po Janie Matejce oraz współczesne prace artystów plastyków.

Moją uwagę zwróciła odnotacja: „wykonał szewc warszawski", umieszczona przy zrekonstruowanym damskim pantofelku z XVI w. oraz przy całkiem współczesnych wzorach obuwia. Jeden z nich, bardzo przypominający samolot (nazwany Odrzutowcem) fascynuje nie tylko kształtem, ale i kunsztem wykonania. Jak mnie poinformowano, ich autorem jest p. Brunon Kamiński.

Szewc to niezwykły, skoro jego prace umieszczono w muzeum obok pamiątek historycznych i prac znanych artystów plastyków. Zaintrygowana tym postanowiłam dotrzeć do niego i wyjaśnić, w jaki sposób wyroby współczesnego szewca trafiły do muzeum.

Pracownia pana Brunona to skromny, przyciasny warsztat rzemieślniczy. Może trochę więcej dyplomów wisi na ścianach, a buty na półkach mają ładniejszą, elegantszą i subtelniejszą linię niż te, które ogląda się w punktach sprzedaży obuwia rzemieślniczego... Ze ściany spogląda groźnie, ale nie odstrasza klientów – spreparowany krokodyl. W drugim, niewielkim pomieszczeniu, gdzie pracują czeladnicy i uczniowie, dziesiątki, a nawet setki kopyt (form, na których robi się obuwie) zalega przyścienne regały.

– Z odtwarzaniem obuwia baletowego, butów z odległych epok, butów sławnych ludzi – mówi pan Brunon – **zetknąłem się w latach pięćdziesiątych w pracowni obuwia Teatru Wielkiego. Lektura opisów wzorów, z którą zapoznałem się przed wykonaniem butów bardzo mnie zaciekawiła. Później zacząłem interesować się tą dziedziną dla własnej przyjemności. Na początku lat siedemdziesiątych zrobiłem kilka par obuwia z okresu kopernikowskiego na Wystawę Konserwatora Zabytków w Olsztynie. Stamtąd trafiły do muzeum we Fromborku i naszego – cechowego.**

Poznawaniu wzorów i technik wykonania obuwia sprzed setek lat poświęca pan Brunon każdą wolną chwilę. Najbliższym jego zamierzeniem jest wierne odtworzenie butów Napoleona. Pan Brunon zebrał już na ten temat literaturę, porobił szkice i rysunki. Realizację tę zmuszony jest, niestety, odłożyć na później, nie chce by na drzwiach jego pracowni pojawiła się kartka: „Nie przyjmujemy obuwia do naprawy do dnia..." Na co dzień bowiem pan Brunon zajmuje się naprawami i wykonywaniem butów na zamówienie. Specjalizuje się w obuwiu damskim. Jego wyroby od dawna cieszą się uznaniem klientek. Podziwiano je i nagradzano na wystawach w kraju i za granicą. A jak osiągnął mistrzostwo w zawodzie?

– Z pewnością jest to efekt wieloletniej pracy i gromadzenia doświadczeń. Zanim rozpocząłem samodzielną pracę, terminowałem jeszcze przed II wojną światową u trzynastu majstrów. Jest to dobry sposób na zdobycie wysokich kwalifikacji. Stosowano go już w średniowieczu, a obowiązek wykazania się praktyką w kilkunastu warsztatach wymagany był od kandydatów na mistrza w zawodzie. U każdego z moich nauczycieli podpatrywałem robotę oraz starałem się zdobyć tajemnicę ich sztuki. I to przyniosło rezultaty po latach.

Dzisiaj wielu uczniów już po paru miesiącach zniechęca się do nauki i do pracy (pan Brunon od lat jest nauczycielem i instruktorem przyszłych szewców); uważają, że jest za ciężka, monotonna i nie daje zadowolenia. Tak, praca jest ciężka, a wykonywanie drobnych napraw nie jest najciekawszym zajęciem, ale od tego się zaczyna. Ja też zaczynałem od przybijania fleków i zelówek i przez długi okres nie otrzymywałem żadnego wynagrodzenia. To ja, tzn. moi rodzice – musieli płacić majstrowi za naukę zawodu. Zresztą, dzisiejsze warunki nauki i pracy trudno nawet porównywać do tych sprzed wojny. Uczeń pracował wtedy od świtu do nocy, często zostawał w warsztacie na noc i spał gdzieś w kącie; zwój skór służył mu za poduszkę, a wierzchnie ubranie za przykrycie. O wolnych chwilach dla siebie można było tylko pomarzyć. Dopiero w niedzielę spotykałem się z kolegami. Nie zniechęciłem się jednak. Chciałem robić buty i marzyłem by moje obuwie było kiedyś najlepsze w Warszawie. Okres, w którym rozpocząłem samodzielną pracę (1942 r.), nie był odpowiedni dla realizacji moich marzeń. Nowych butów wykonywało się w tym czasie niewiele. Przeważały naprawy i to obuwia bardzo zniszczonego. Później przyszedł czas, kiedy mogłem wypróbować swoje umiejętności. Zawsze starałem się wykonywać swoją pracę solidnie i jak najlepiej, tak by klienci byli zadowoleni. Robiłem też wzory do Biura Mody. Niektóre z nich zdobywały wysoką ocenę rzeczoznawców i wyróżniane były na wystawach obuwia. Pierwszą międzynarodową nagrodę – Złoty Medal, zdobyłem w 1957 roku na wystawie w Monachium. Potem ktoś zadecydował, by najciekawsze modele umieścić w naszym muzeum.**

Dzisiaj, w dobie seryjnego obuwia przemysłowego, praca szewca kojarzy się zazwyczaj z drobnymi naprawami. Stąd chyba niechęć młodzieży do nauki zawodu, a w konsekwencji ogromny brak usług szewskich. Wśród tych usług dominują naprawy obuwia, zwłaszcza w obecnej kryzysowej sytuacji, niemniej jednak nie brakuje chętnych na dobrze wykonane obuwie. Przekonałam się o tym goszcząc w pracowni pana Brunona. Jedna z klientek powiedziała mi, że nie widziała nigdy butów tak wygodnych i eleganckich, a gdy przebywała w Australii, Szwecji i Włoszech, jej obuwie niejednokrotnie wzbudzało zachwyt pań, które próbując odgadnąć skąd pochodzą, wymieniały różne renomowane firmy świata. Te, które dziś przyniosła do odnowienia, mają jużchyba 15 lat, a ponieważ wróciła moda na niskie obcasy, i sądzi, że po odnowieniu służyć jej będą jeszcze długo.

– Największą satysfakcję dają mi opinie klientek, one są najlepszymi krytykami, a ich oceny są surowe i bezwzględne. Wykonywanie obuwia na wystawę jest latwiejszym zadaniem, niż trafienie w gust i wymagania klientki. Buty dla niej muszą nie tylko odpowiadać wybranemu modelowi, ale również idealnie pasować na nogę i dobrze na niej wyglądać. Dzisiaj mogę stwierdzić, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach udaje mi się to – powiedział mi na zakończenie rozmowy pan Brunon Kamiński, Mistrz Rzemiosła Artystycznego. Taki tytuł nadany mu został w 1982 r. przez Ministra Kultury i Sztuki.

WANDA SZKLARCZYK

Jak zdobyć zawód szewca?

O warunkach i formach kształcenia systemem rzemieślniczym do zawodu szewca poinformował mnie kierownik Biura Cechu Rzemiosł Skórzanych – pan Jan Żamajcin.

– Nauka trwa 3 lata i składa się z części teoretycznej i praktycznej. Przygotowanie teoretyczne uczniowie zdobywają w zasadniczych szkołach zawodowych, do których uczęszczają 3 razy w tygodniu. Program nauczania obejmuje przedmioty ogólnokształcące i zawodowe: materiałoznawstwo, technologię, rysunek zawodowy, korespondencję rzemieślniczą, kalkulację, podstawowe przepisy prawne. Zajęcia praktyczne odbywają się w warsztatach rzemieślniczych pod opieką i kierunkiem mistrza. Za wykonywaną pracę uczniowie otrzymują wynagrodzenie: w pierwszym roku nauki zawodu – 640 zł, w drugim – 960 zł, w trzecim roku – 1920 zł. Są to stawki minimalne; mistrz w zależności od wartości wykonywanej pracy i umiejętności ucznia może je odpowiednio zwiększyć. Po ukończeniu szkoły i zaliczeniu praktyki u mistrza, uczeń przystępuje do egzaminu czeladniczego. Składa się on z wykonania „sztuki egzaminacyjnej" – jednej pary obuwia oraz sprawdzianu z wiedzy teoretycznej. Absolwent szkoły może podjąć pracę w zawodzie (w przemyśle obuwniczym, spółdzielniach pracy lub w warsztatach rzemieślniczych), albo kontynuować naukę w technikum. Istnieje też możliwość ukończenia studiów wyższych – w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, na wydziale obuwnictwa. Pozostając w rzemiośle, może otworzyć swoją pracownię po zdobyciu świadectwa mistrza, lub nawet jako czeladnik, po dwóch latach praktyki. Chętni do nauki tego zawodu powinni zgłaszać się do Cechu Rzemiosł w miejscu swego zamieszkania, lub w mieście wojewódzkim.

(WS)

Fot. **Jacek Łopuszyński**

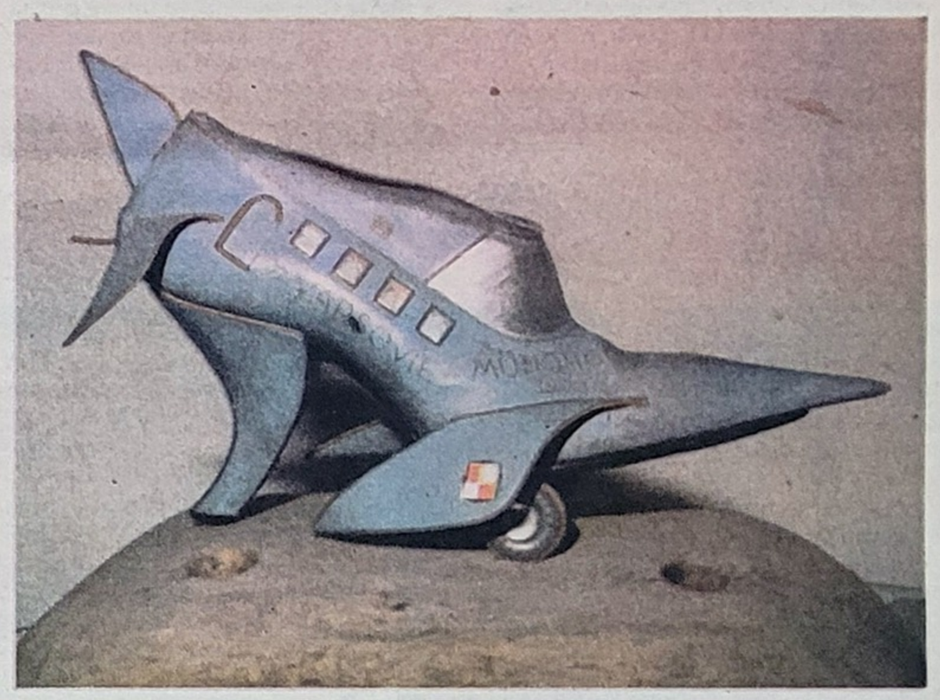

Co prawda w butach „Odrzutowcach" można chodzić, ale jest to raczej wyrób ukazujący kunszt i umiejętności rzemieślnika

Polscy laureaci nagrody Nobla

CO PRZESZKADZA W PRACY

Zanim stał się pisarzem, Władysław Reymont z niejednego pieca chleb jadał: był wędrownym aktorem, robotnikiem, kupcem, krawcem, wykonywał podrzędne prace na kolei, odbywał nowicjat zakonny, podróżował po Europie i Stanach Zjednoczonych, wreszcie osiadł w mająteczku Kołaczkowo.

Znaczna część „Chłopów" powstała podczas pobytu pisarza w Paryżu. Zauważono, że nie wychodzi na miasto, nie odwiedza nikogo, nie bywa w teatrze ani w muzeach. Zapytany, dlaczego w takim razie nie pisze powieści w kraju, odrzekł:

– W Polsce nie ma tej atmosfery pracy, jaka tu panuje. Tu każdy coś robi, życie dzieli się na godziny zajęcia i czas wypoczynku. W Polsce przyjdzie od rana „przyjaciel" i będzie siedział godzinami. I cały rozpęd do pracy diabli biorą w ustawicznych dyskucjach, sporach, bajeczkach...

Władysław Reymont (Rejment), (7.05.1867 – 5.12. 1925), pisarz, próbował różnych zawodów, zanim rozpoczął pracę literacką. Debiutował w 1893 r, po 1. wojnie światowej osiadł w Kołaczkowie pod Wrześnią (dzisiaj muzeum regionalne im. Wł. Reymonta). W 1924 został wyróżniony nagrodą Nobla za powieść „Chłopi", przełożoną już na języki europejskie.

Główne dzieła: reportaże, nowele i opowiadania, np. Pielgrzymka do Jasnej Góry (1895), Spotkania (1897), Z pamiętnika (1903), Sprawiedliwie (1899), Za frontem (1919), Lili (1899), Bura (1901), Krosnowa i świat (wyd. 1928); powieści: Komediantka (1896), Fermenty (1897), Ziemia Obiecana (1899), trylogia: Rok 1794 (Ostatni Sejm Rzeczypospolitej 1913, Nil desperandum 1911, Insurekcja 1918), Wampir (1911), cykl epicki „Chłopi" (1902–1909).

Z notatnika filatelisty

redaguje Piotr Wieczorek

Z okazji 350 rocznicy utworzenia pierwszej w Polsce Katedry Geodezji na Uniwersytecie Jagiellońskim, w celu popularyzacji polskiego dorobku w dziedzinie kartografii, Ministerstwo Łączności wprowadziło pod koniec ubiegłego roku do obiegu pocztowego cztery znaczki:

- 5 zł – przedstawiający fragment mapy Polski opracowanej przez Bernarda Wapowskiego z roku 1526;
- 6 zł – fragment mapy Warszawy Kwatermistrzostwa Królestwa Polskiego z 1839 roku;
- 8 zł – mapę Polski z Atlasu Eugeniusza Romera z 1908 r.;
- 25 zł – plan miasta Krakowa z 1703 roku A. Bochowieskiego oraz astrolabium używane w XVII wieku.

Znaczki zaprojektował artysta plastyk Jacek Brodowski, a wydrukowano je techniką offsetową na papierze kredowym w formacie 40,5 mm × 40,5 mm w następujących nakładach: 5 zł, 6 zł, 8 zł po 6 milionów sztuk, a wartości 25 zł – 4 miliony sztuk.

W dniu wprowadzenia znaczków do obiegu pocztowego (28 grudnia 1982 r.) w sprzedaży były dwie ozdobne koperty, które zostały opatrzone okolicznościowym kasownikiem w Urzędzie Pocztowym Warszawa 1.

Ozdobne koperty oraz okolicznościowy kasownik zaprojektował również artysta plastyk Jacek Brodowski.

Na reprodukcji omawiana emisja pocztowa.

MILOŠ KOPECKY

– gra najsympatyczniejszą postać w „Szpitalu na peryferiach"

GWIAZDOZBIÓR

- Taka jest przynajmniej opinia wszystkich moich sąsiadów (nie wyłączając mnie), którzy co niedziela o godzinie 20,15 zasiadają przed telewizorami, by oglądać czechosłowacki serial. To już druga jego część. Mamy za sobą 18 odcinków pasjonującej codzienności dr. Błażeja, dr. Sowy, dr. Sztrosmajera, Dany, Iny, Grzegorza, ich kolegów i pacjentów, a nie czujemy się znudzeni. Z żalem myślimy o rozstaniu z tymi bohaterami.

„Szpital na peryferiach" uznany został, poza swoim ojczystym krajem, za wydarzenie – także w RFN, NRD, Szwajcarii, Austrii, Jugosławii, Bułgarii i na Węgrzech. Autor jego scenariusza – Jaroslav Dietl zdobył sobie sławę bezkonkurencyjnego mistrza w wyczuwaniu, co będzie się podobało milionom. W licznych wywiadach podkreśla, że receptą na stworzenie dobrego serialu jest znajomość środowiska, które się chce przedstawić (patrz „Polityka" nr 1 – 83 rok: „Jak pisać seriale"). Urodził się ze zwichnięciem stawu biodrowego. Przeszedł kilka operacji ortopedycznych – szpital poznał więc dobrze – najpierw jako pacjent, a potem z pozycji odwrotnej, jako mąż lekarki, której pomagał w czasie ostrych dyżurów.

Z całej galerii pozytywnych postaci serialu najbardziej, jak to już powiedzieliśmy, podoba się doktor Sztrosmajer. Pewno dlatego, że reprezentuje cechy, które w lekarzach cenimy najbardziej. Po pierwsze: głęboką wiedzę i doświadczenie – nie tylko medyczne, ale i życiowe. Po drugie: osobowość. Jest człowiekiem ciepłym, z ogromnym poczuciem humoru, wspaniałą umiejętnością nawiązywania kontaktu z innymi, człowiekiem, co do którego możemy być pewni, że zdolny jest do największych poświęceń, by chronić innych. O kimś takim mówimy, że bez względu na okoliczności postępuje etycznie. Nie jest łatwo zagrać taką postać i nie „przesłodzić" jej, chyba, że... jest się Milošem Kopeckim.

Urodził się 22 sierpnia w 1922 r. w Pradze. Ponury okres okupacji łączy się w jego wspomnieniach z wielką tragedią osobistą. Jego ojciec porzucił wtedy matkę – Żydówkę. Jednym z pierwszych transportów zabrano ją do obozu i tam zginęła w komorze gazowej. Przez wiele lat Miloša trapiło poczucie winy, że nie umiał przełamać lęku ojca, zatrzymać go przy matce i w ten sposób być może ją uratować. Z tego też powodu nie chciał pozostawać bierny w czasie wojny, choć jego naród poddał się Niemcom. Wstąpił do podziemnej grupy teatralnej „Tvar" i działał w niej. Został aresztowany w 1941 r. podczas przedstawienia i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Jednak przetrwał.

Po wojnie powrócił do pracy w teatrach praskich. Obecnie (od 1965 r.) gra w Teatrze na Vinohradach. Oprócz tego od lat pochłania go praca w telewizji i w filmie. Jest jednym z najbardziej znanych aktorów czechosłowackich. Dowodem tego jest wysokie państwowe odznaczenie, które otrzymał w 1979 r. – właśnie za pracę aktorską i „Złoty krokodyl" przyznany mu w 1982 r. jako najbardziej lubianemu przez publiczność aktorowi telewizyjnemu.

Pozostał człowiekiem bardzo skromnym. O swoich możliwościach aktorskich wyraża się w ten sposób: *„Im dłużej gram, tym większego wysiłku to wymaga. Dawniej, otrzymując rolę, miałem wrażenie, że wystarczy rzut oka, by wiedzieć, jak się do niej zabrać. Ale tak w rzeczywistości nigdy nie było. A im dłużej pracuję w zawodzie – tym więcej pytań sobie zadaję a żadna rola nie wydaje mi się prosta i łatwa. Zresztą, gdzie jest napisane, że człowiek z wiekiem mądrzeje? Czy z młodego osła może wyrosnąć mędrzec? Nieprawda – wiek jedynie utrwala w człowieku to, co już w nim jest".*

Od czasu filmowego debiutu w 1947 r. pod reżyserią Bořivoja Zemana zagrał w kilkudziesięciu filmach. Z aktorką Stellą Zazworkową stworzył popularną parę komediową. W Polsce oglądaliśmy go w wielu filmach.

„Powrót do domu" (48 r.), „Mistrz Alesz" (50 r.), „Dumna królewna", „Wielka przygoda" (52 r.), „Porwanie", „Tajemnica krwi" (53 r.), „Dziś wieczorem gramy", „Północny port", „Srebrny wiatr", „Kawiarnia przy głównej ulicy", „Ołowiany chleb" (54 r.), „Był sobie król" (55 r.), „Góra tajemnic" (56 r.), „Pierwszy wyścig", „Dobry wojak Szwejk" (57 r.), „Nieziemskie historie", „W rozterce" (58 r.), „Przygody barona Münchausena (gł. rola – 60 r.), „Człowiek z pierszego stulecia" (61 r.), „Lemoniadowy Joë", „Biała dama" (64 r.), „Nocne sam na sam" (69), „Królewskie igraszki", „Teorie uwodzenia", „Kto chce zabić króla" (70 r.), „Harem pana Voka", „Zdradzieckie gry miłosne", „Tajemnice Aleksandra Dumasa" (71 r.), „Sześć niedźwiedzi i clown Cebulka" (72 r.), „Jak utopić doktora Mroczka" (74 r.), „Jutro się policzymy kochanie" (76 r.),

Lista jest obszerna – prawda? A dopiero rola dr. Sztrosmajera utrwaliła jego twarz w naszej pamięci.

Jak możecie zorientować się z tego długiego wyliczania – większość filmów z Milošem Kopeckim – to komedie. A jednak tego aktora absolutnie nie można nazwać komikiem. Jest zbyt wszechstronny i głęboki w swoich aktorskich interpretacjach, by go uznać za kogoś w rodzaju clowna, jak to można zrobić np. z Luisem de Funesem. Owszem, czeski aktor nie stroni od jaskrawego humoru. Nawet jako dr Sztrosmajer nie unika wywołujących salwy śmiechu gagów, ale nie są one błazenadą a przejawem świetnego, pełnego wyczucia dowcipu i dramatyzmu. Jeśli już porównywać Kopeckiego z kimkolwiek – to tylko z lirycznym Charlie Chaplinem, którego on sam zresztą uważa za swój aktorski ideał.

„Jestem melancholikiem i dlatego muszę bronić się ironią i śmiechem – twierdzi aktor. – *Tym ludzie różnią się od zwierząt. Mają świadomość tragizmu sensu istnienia, które nieuchronnie zmierza ku śmierci, ale mają też zmysł humoru, który pozwala na dystans wobec wszelkich problemów. Staram się, być dowcipny właśnie wtedy, kiedy jestem bardzo smutny..."*

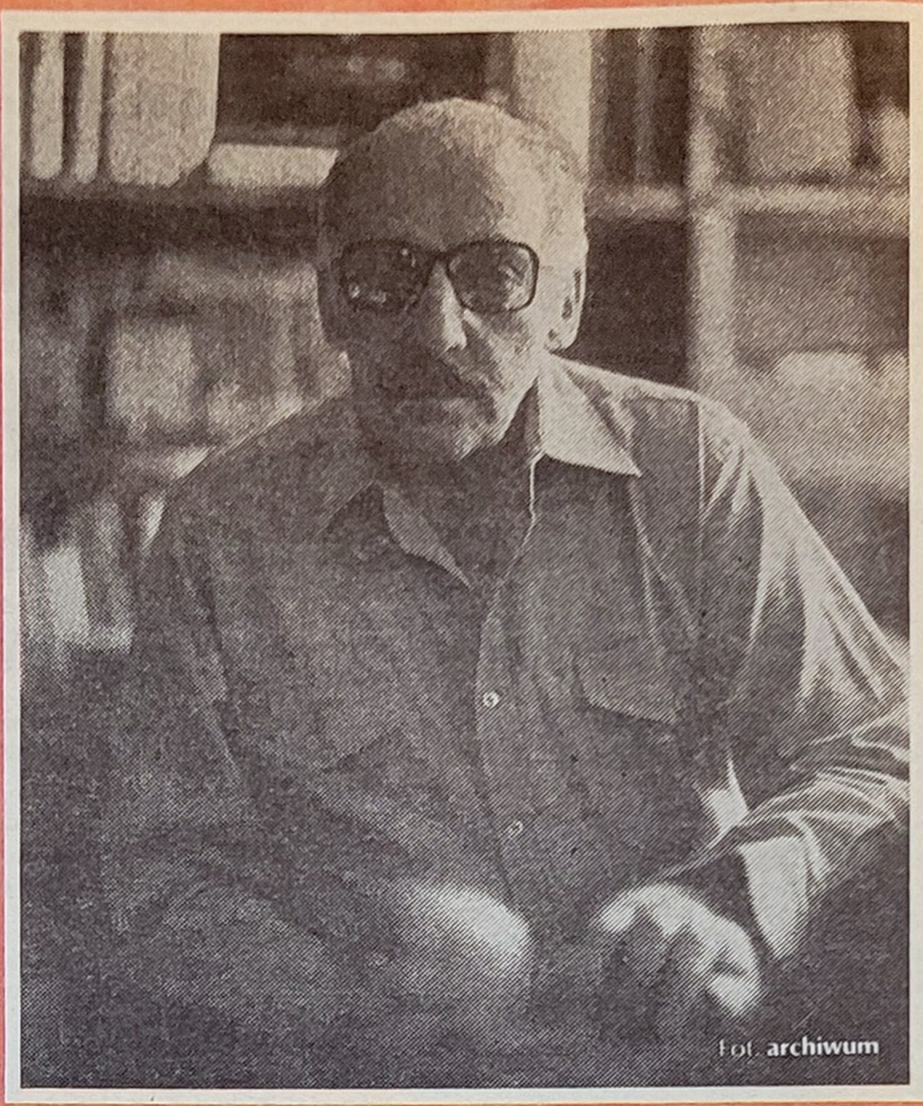
Fot. archiwum

Zapytany o upodobanie – wyliczył: *Oczywiście kocham książki – jak większość ludzi. Kocham też wędrówki po południowych Czechach upalnym latem, bo przyszedłem na świat upalnego lata. Kocham też zwierzęta. Mam psa, ale nie jest on zbyt dobrze wytresowany. Odebrałoby mu to, co jest najpiękniejsze w zwierzętach: spontaniczność uczuć, bezpośredniość ich wyrażania. Upodobniłoby go to do człowieka. A mam psa i kocham go właśnie dlatego, że różni się ode mnie".*

Taki jest właśnie Miloš Kopecky: pogodny, dowcipny, tolerancyjny, doświadczony, pracowity, skromny, ciepły – po prostu zwyczajny. Taki jest także jego Sztrosmajer i pewno dlatego, że jest prawdziwy – tak go lubimy.

Oprac. **EWA BIELSKA**

WĘDRUJĄCA TALIA

Na zdjęciach obok przedstawione są trzy sukienki (właściwie jedna z nich to nie sukienka, ale rzecz dwuczęściowa, składająca się ze spódniczki i bluzy, ponieważ jednak obydwie są z tego samego materiału – całość wygląda jak sukienka). Nic szczególnego – trzy z tysiąca możliwych modnych sukienek. Wybrałam je z tej powodzi możliwości przeróżnych dlatego, że na ich przykładzie najwyraźniej widać jak wędruje aktualnie modna talia i jak zmieniać się może sukienkowa długość.

Zacznę może od tej... najnormalniejszej. Tej, która talię ma w swoim właściwym, przez naturę wyznaczonym, miejscu. I to talię mocno, bardzo wyraźnie zaznaczoną. Zwróćcie uwagę, jak pasek jest mocno zapięty. I długość tej sukienki jest taka... nazwijmy to tradycyjna, czyli zakrywająca kolana. Ani odrobiny w tej sukience nie ma ekstrawagancji, nic szokującego, nic przebojowego. A jednak – nie jest to byjnajmniej sukienka wyciągnięta ze starej szafy. Takie sukienki aktualnie się nosi, takie sukienki są modne.

Równie modna jest sukienka-kitel (ta najkrótsza, w podłużne pasy – o ile widać to po wydrukowaniu zdjęcia). Jest to fason szalenie łatwy do własnoręcznego uszycia, ponieważ całość jest po prostu luźnym. bardzo szerokim, workiem bez jakichkolwiek zaszewek. Sam taki luźny worek nie wyglądałby jednak zbyt efektownie i dlatego został na biodrach luźno przepasany szerokim paskiem. Powinno go być (ten pasek) widać więc na ogół bywa w jakimś kontrastowym kolorze. A w ogóle nie pasek to żaden tylko użyty w jego charakterze jakiś cienki szalik. Połączenie worka i paska-szalika daje w efekcie sukienkę z obniżoną talią. Ta wysokość talii najlepiej wygląda przy długości mini. Z tym, że – uwaga! Jeśli któraś z Was się zabierze do szycia takiego worka, trzeba go uszyć parę centymetrów dłuższym niż zamierzona długość końcowego stroju – sukienkę podrzuca się nad paskiem, co ją skraca.

Wędrująca talia potrafi obecnie zejść całkiem nisko, nawet poniżej bioder. Oczywiście w tym miejscu żaden pasek już się nie utrzyma (bo nie ma na czym) więc albo sukienka powinna być w tym miejscu przecięta, albo można zastosować wariant przedstawiony na zdjęciu tj. komplet złożony ze spódniczki i zakładanej na nią bardzo długiej bluzy wykończonej u dołu lamówką (coś takiego jak ściągacz u swetra). Co prawda na wersję składaną (bluza i spódnica) potrzeba więcej materiału niż na samą sukienkę, ale za to można sobie wówczas przy każdorazowym założeniu regulować długość całości (bluza jest tak szeroka w okolicach talii, że można pod nią spódniczkę na pasku podwinąć i nie będzie tego widać). Bo i długości, podobnie jak miejsce talii, są przy modnych sukienkach bardzo różne.

Bardzo to wygodne, bo... niemal wszystko jest równie modne. Więc można się kierować wyłącznie upodobaniami. Bez oglądania się na żurnal, co czasami bywa przecież kłopotliwe. Przynajmniej ja tak sądzę.

RIUSZKA

KLOWNADA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

Dobry program cyrkowy musi posiadać dobrego klowna, który potrafi wszystkich rozbawić i jest gospodarzem całego spektaklu.

MICHAŁ CHMIELEWSKI

ZADANIA DLA CIEBIE:

1. Pokaż charakterystyczny chód: marynarza, boksera, staruszka, pędziwiatra, arystokraty.
2. Przećwicz naśladowanie dźwięków i ruchów dowolnie wybranych zwierząt.
3. Zagraj, nie fałszując, fragment melodyjki na grzebieniu, listku lub baloniku, z którego powoli wypuszczasz powietrze.

Wyniki zanotuj w tabelce zamieszczonej w 4 numerze „ŚM" z dn. 11.I.

Na ćwiczenia masz tydzień czasu. Następny odcinek i kolejne zadanie dla Ciebie – w najbliższy wtorek

Pewnego razu...

O niemożliwości ruchu bez punktu odniesienia

»Pewnego razu do wybitnego francuskiego uczonego Jana d'Alemberta zgłosił się jakiś wynalazca trzymając na rękach maszynę, która jego zdaniem mogła sama wprawić się w ruch bez punktu oparcia.

– To znaczy, że pańska maszyna będzie poruszać się w wybranym przez pana kierunku nawet w świecie pozbawionym wszelkich innych ciał, które są jej po prostu niepotrzebne?

– Oczywiście!

– A jak pańska maszyna zgadnie, gdzie przód, a gdzie tył, skoro oprócz niej w ogóle niczego na świecie nie ma?

Na to pytanie wynalazca nie umiał odpowiedzieć, a d'Alembert zapisał w rękopisie swego słynnego traktatu „Dynamika": „Ciało nie może samo wprawić się w ruch, ponieważ nie ma podstaw do tego, aby poruszało się chętniej w jedną stronę niż w drugą".

Jean le Rond d'Alembert, (16.11.1717 – 29.10.1783), filozof, matematyk i fizyk francuski. Współzałożyciel (z Diderotem) Wielkiej Encyklopedii Francuskiej. Głosił program filozofii opartej na faktach danych w doświadczeniu zmysłowym. Zajmował się równaniami różniczkowymi i mechaniką teoretyczną, także historią.

(KG)

Andrzej Gurowietz należy chyba do tych nielicznych czytelników TOMIKA, który nie poddaje się fali wyznawców UFO. Jego wypowiedź o szansie istnienia cywilizacji pozaziemskich w najbliższych nam rejonach wszechświata poparta jest solidnymi rozważaniami naukowymi. Dedykuję ten materiał wszystkim tym, którzy w każdym trochę niecodziennym zjawisku przyrodniczym chętnie widzieliby „wspaniałych kosmitów w ich wspaniałych spodkach".

PREZES

JESTEŚMY CHYBA W KOSMOSIE OSAMOTNIENI

Czy to nie paradoks: im więcej ludzi dookoła, tym bardziej człowiek czuje się samotny? Tę pozornie niewytłumaczalną obsesję samotności, ten zadziwiający kompleks, na który cierpi tak wiele ludzi żyjących u schyłku XX wieku, próbuje się przypisać działaniu najróżniejszych czynników. Może na skutek zanikania bliskich więzi międzyludzkich, nie dających się utrzymać w wielkich skupiskach homo sapiens, gdzie jednostka pędzi życie pomiędzy obcymi w miejscu pracy, obcymi w miejscu zamieszkania, obcymi podczas swoich podróży. A może dzieje się tak dlatego, że trudno nam pogodzić się z myślą, iż będąc zrodzonymi z igraszki przypadkowych zdarzeń, nie mamy do spełnienia żadnego, z góry ustalonego zadania, w zimnym, obcym i pustym kosmosie, który zamieszkujemy?

Ta ostatnia teza, jeżeli idzie o ludzkość wyzwoliła falę gwałtownej negacji, w postaci wręcz rozpaczliwych prób odnalezienia bratnich istot w kosmicznych odchłaniach, istot mądrzejszych i lepszych od człowieka. A w najgorszym przypadku chociażby śladów życia, mającego szansę na ewolucję, analogiczną do tej, jaka miała miejsce na Ziemi. I co ciekawsze – te pełne uporu, samozaparcia i, co tu ukrywać nader kosztowne poszukiwania kosmicznych braci, nie były podejmowane przez teologów czy filozofów, a przez ludzi chłodno i precyzyjnie myślących, jakimi są niewątpliwie wybitni astronomowie, astrofizycy czy inni przedstawiciele nauk ścisłych.

Większość uczonych, nie mogących się pogodzić z myślą o samotności człowieka w kosmosie, wyznaje pogląd, iż pozaziemska inteligencja musi być czymś zupełnie naturalnym we wszechświecie wypełnionym trylionami gwiazd, a liczebność tych kosmicznych cywilizacji oceniana jest od 50 tysięcy aż do 1 miliarda. Rozumowanie w tym przypadku jest proste. Skoro w kosmosie istnieje około 10^{20} gwiazd, a wiele miliardów z nich przypomina nasze Słońce, posiadające system planetarny, w którym narodziła się ludzka cywilizacja, więc wiele innych słońc może również mieć systemy planetarne, gdzie mogą zachodzić procesy prowadzące do wytworzenia się rozumnych cywilizacji.

Obsesyjny lęk przed samotnością w kosmosie oszczędził jednak wielu wybitnych badaczy, pośród nich doktora Michaela Harta z Uniwersytetu Trinity w San Antonio, który na podstawie przeprowadzonej analizy komputerowej doszedł do wniosku, że możliwość istnienia cywilizacji pozaziemskich jest mało prawdopodobna, a życie w postaci cywilizowanej należy uznać za zjawisko unikalne, być może typowe jedynie dla naszej planety. Z analizy doktora Harta wynika bowiem, że dla powstania życia i jego ewolucji w kierunku cywilizacji powinny być spełnione dwa podstawowe warunki: po pierwsze – temperatura na planecie musi być umiarkowana, po drugie – temperatura taka musi utrzymywać się w okresie około 3,7 mld lat. Wynika stąd, że o mały figiel życie i cała nasza cywilizacja nie ujrzałyby światła dziennego, jako że nasza planeta ledwo zmieściła się w ekstremach, wyznaczających możliwość powstania życia na Ziemi. Gdyby na przykład Ziemia znalazła się na orbicie położonej bliżej Słońca tylko o 5%, powstałyby na niej warunki analogiczne do tych, jakie panują na Wenus. Gdyby natomiast orbita ziemska była tylko o 1% dalsza od Słońca, niż jest teraz – nasz glob przypominałby zlodowaciałą pustynię. Rzecz jasna, gwiazdy mniejsze od Słońca mogą również dysponować „życiodajną strefą", jednakże począwszy od 83% masy naszej gwiazdy niknie szansa występowania takiej strefy, podobnie zresztą, jak w przypadku masy rzędu 1,2 masy słonecznej.

Ale nie tylko te przesłanki wskazują, że cywilizacje pozaziemskie, jeśli istnieją – to są niezwykle rzadkie, a w naszej galaktyce nie ma ich w ogóle. Nikt bowiem jeszcze nie obserwował bezpośrednio żadnej planety poza Układem Słonecznym, nie stwierdzono żadnych śladów życia na Księżycu i innych planetach, a poza tym, mimo że od przeszło 20 lat potężne radioteleskopy w USA, ZSRR, RFN, W. Brytanii, Holandii, Kanadzie i Australii pilnie wyławiają wszelkiego rodzaju sygnały z przestrzeni kosmicznej – to jednak do tej pory bracia kosmiczni nie dali znać o sobie.

Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji entuzjazm części naukowców, zafascynowanych poszukiwaniami cywilizacji pozaziemskich, poważnie osłabł. I tak na przykład profesor Karl Sagan (na zdjęciu) z Uniwersytetu w Cornell, który w roku

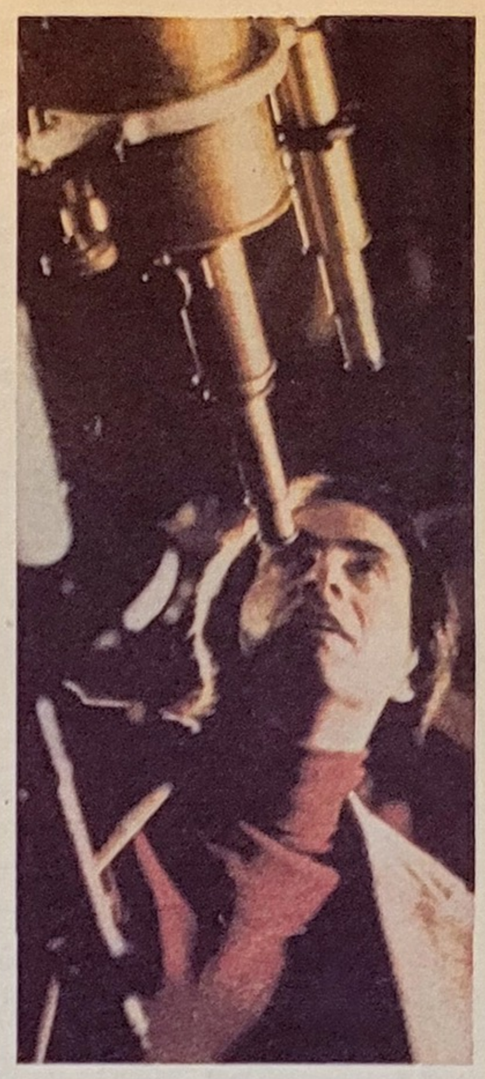

1966 wspólnie z radzieckim astronomem, profesorem Józefem Szkłowskim, opublikował książkę zatytułowaną „Inteligentne formy życia w kosmosie" – ostrzega już poszukiwaczy cywilizacji pozaziemskich przed nadmiernym optymizmem. Podobnie zresztą profesor Szkłowski stwierdził między innymi: *„Wygląda na to, że nasze Słońce, ta dziwna i samotna gwiazda otoczona rodziną planet, jest najprawdopodobniej rzadkim wyjątkiem w gwiezdnym świecie"*. A więc wychodzi na to, że jesteśmy chyba samotni w wielkim, pustym kosmosie.

Andrzej Gurowietz

czł. PTMA, KKMA „HADAR".
ul. Dzierżyńskiego 14B
41-808 Zabrze

CYKLICZNOŚĆ ŻYCIA

Moja teoria wyda się może dość dziwna, ale wszystko co dziwne jest ciekawe. Na pewno każdemu z was w pewnych momentach życia wydaje się, że już kiedyś dany moment istniał w naszym życiu. Nie wiem czy dość jasno to przedstawiłem, ale na pewno każdy z nas wie o co chodzi, bo jeszcze nie spotkałem człowieka, któremu by się to nie przytrafiło. Ja sam miałem parę takich przypadków, przy których mogłem nawet przewidzieć dalszy ciąg. Przy tych przypadkach występowała mi nawet z wrażenia gęsia skórka. Ktoś by powiedział, że to normalne, przecież wiele czynności w swoim życiu wykonujemy wiele razy, w szkole, w pracach domowych itd. Tych co tak uważają chcę wyporowadzić z błędu. Zdarzenia, podczas których mamy „dziwne" wrażenie, że już kiedyś istniały w naszym życiu, zdarzają się najczęściej w specyficznych okolicznościach, np. w miejscu, które po raz pierwszy widzimy. Przejdę teraz może do przedstawienia mojej hipotezy na ten temat.

Jak wiemy wszechświat zaczął się od wielkiego wybuchu zwanego big-bang, po którym zaczęły się formować galaktyki, gwiazdy, planety i wszystkie inne ciała jakie zawiera wszechświat. Po wielu miliardach lat od owego wybuchu uformowała się nasza Galaktyka, Słońce i wreszcie Ziemia. Na Ziemi ewolucja stworzyła życie a wraz z nim człowieka. Człowiek ten pracuje, uczy się, zaznaje cierpień jak i radości, ale tylko do czasu. Do czasu, w którym przestanie istnieć. Co do tego, że kiedyś zniknie z wszechświata nie ma najmniejszych wątpliwości. Składa się na to parę przyczyn. Najbliższą jest zagłada ludzkości poprzez wybuch wojny jądrowej. Trochę dalszą perspektywą jest wygaśnięcie naszego Słońca. Ktoś może powiedzieć, że do tego czasu (parę mld. lat), ludzkość osiągnie taki stopień rozwoju, że będzie mogła zasiedlić planety całej naszej Galaktyki. Zgoda, ale ostatnia przyczyna zagłady jest nie do podważenia – skurczenie się wszechświata. Jak wiadomo naukowcy stwierdzili, że po owym wybuchu wszechświat stale się rozszerza, ale tylko do pewnego momentu. Po pewnym czasie osiągnie granicę, aby z kolei powrócić do pierwotnego stanu jakim jest ogromny „kosmiczny bulion", jak to określił pan Dittfurt, w którym panuje takie zgęszczenie i temperatura, że nie może istnieć nawet atom, więc człowiek tym bardziej. A więc ludzkości już nie ma na pewno, tylko jedna zwarta masa olbrzymich rozmiarów. Masa ta pozostanie w spoczynku (jak długim trudno określić) po to aby znów po pewnym czasie nastąpił wybuch i tworzenie się nowego wszechświata. I niby dlaczego wszechświat nie miałby się na nowo zrekonstruować tak jak poprzednio, a więc wykształcić takie same galaktyki, gwiazdy a wśród nich nasze Słońce, naszą Ziemię i nas samych. W ten sposób oto możemy wytłumaczyć powtarzające się zdarzenia. Tylko nie bardzo wiem w jaki sposób cząstki naszej świadomości pozostały sprzed poprzedniego wybuchu.

Może ktoś z was mi pomoże, czekam na wasze opinie na ten temat. Według mojej teorii powinienem ten list pisać znowu za parę, może kilkadziesiąt miliardów lat. A więc czytajcie mnie znowu za miliardy lat.

Janusz Kokosiński
ul. Leśnego Potoku 35b/28
40-406 Katowice

mieszkał wśród was. Zna was i wiem dobrze, że darzy sympatią. A przecież, oby król królów Dariusz żył jak najdłużej, kiedyś królewski kidaris spocznie na skroniach Kserksesa. Wszystko jest więc możliwe...

– Wielki Ahuramazda – poważnie powiedziała Meherbanu – na pewno będzie czuwał nad losami swojego wysłannika, twego syna.

Sillaja wciąż myślał, że śni. Syn zwykłego Babilończyka mieszkający w pałacu? Ale to jeszcze nie był koniec niespodzianek, bo po chwili Azardad zapytał:

– Czy wiesz, Sillajo, że Tirdach odchodzi z dowództwa Straży Miejskiej?

– Mówi się o tym od dawna. Ale ostatnio te pogłoski ucichły.

– A jednak odchodzi. Król Dariusz mianował go dowódcą wojskowym w jednej z nadgranicznych satrapii na wschodzie. Już niedługo wyruszy w tamte strony.

– Pewnie zechce wziąć ze sobą swoich ludzi? – zaniepokoił się Sillaja. Kaprys tartanu Tirdacha mógł go wyrwać ze spokojnego Babilonu i uregulowanego trybu życia nad granicę wielkiego imperium, gdzie znowu trzeba będzie mieszkać w namiotach, walczyć z rozbójnikami i odpierać najazdy koczowniczych ludów.

– Zapewne weźmie kilkunastu swoich ulubionych żołnierzy i kilku oficerów – zgodził się Azardad. – Kogo wybierze, nie moja sprawa. Zresztą to się tym ludziom opłaci. Zwykli żołnierze awansują na setników. Przecież to wszystko starzy weterani, którzy doskonale znają się na wojennym rzemiośle. Taki awans dawno się im należy.

– Na stare lata spokojny kąt cieszy żołnierza bardziej niż awans i nowe boje.

– Znajdą się tacy, którzy będą prosić Tirdacha, aby ich zabrał ze sobą.

– Znajdą się i tacy – zgodził się Sillaja – zwłaszcza młodsi.

– Czy ludzie będą żałowali Tirdacha?

– Sądzę, że tak – ostrożnie odpowiedział dziesiętnik. – Zaprowadził porządek i bezpieczeństwo w mieście. Nawet nocą samotny człowiek może spokojnie wracać do domu. Nie napadnie na niego żaden rabuś. Kradzieże na bazarze i nakarum też coraz rzadziej się zdarzają.

– A żołnierze?

– Nie krzywdził nikogo. A że wymagał karności? Dlatego przecież był tartanu. – Sillaja nie wiedział, czy perski wódz życzliwy jest Tirdachowi, i bał się zbyt wiele powiedzieć o swoim dowódcy.

– Żaden żołnierz mi się nie skarżył – przyznał Azardad – by mu nie wypłacano należnego żołdu.

Dziesiętnik roześmiał się w duchu. Nigdy babiloński żołnierz nie złożyłby skargi na perskiego dowódcę. Nawet gdyby wyżej znalazł sprawiedliwość i wygrał w tym sporze, przegrany lub jego przyjaciele potrafiliby się w odpowiednim czasie na nim odegrać. Lepiej milczeć i nie upominać się zbytnio o należny żołd, a szukać dochodów i zarobków z innych źródeł. Tych, na szczęście, w bogatym Babilonie nie brakowało. Więc kupcy chętnie wynajmowali wolnych chwilowo żołnierzy do pilnowania magazynów lub do konwojowania cennego ładunku. Na takie uboczne zarobki tartanu Tirdach patrzył przez palce. Żołnierze mieli swoje dochody, a on pobierał z kasy państwowej należny im żołd. Przez te pięć lat dowodzenia Strażą Miejską majątek osobisty Tirdacha poważnie się zaokrąglił.

O tym Azardad zapewne dobrze wiedział i z pewnością także miał podobne dochody. Ale to jeszcze nie dowód, aby zwykły dziesiętnik Sillaja, mimo że spotkał go niebywały zaszczyt biesiadowania przy jednym stole z perskim księciem, miał mu zaraz o tym mówić. Więc przezornie milczał.

– Nie interesuje ciebie, kto będzie następcą Tirdacha?

– Jestem prostym dziesiętnikiem. Samego tartanu rzadko kiedy widuję. Dowódcą Straży Miejskiej zostanie ten, którego mianuje wielki król Dariusz lub jego syn.

– Mylisz się – spokojnie odpowiedział Azardad. – Dowódca Straży Miejskiej w Babilonie to zbyt małe stanowisko, aby sam Dariusz czy Kserkses mieli o tym decydować. Taka sprawa leży właśnie w mojej kompetencji.

– Będzie więc nim ten, o panie, którego wyznaczysz.

– Tak – zgodził się książę – mam już chyba kandydata. Sądzę, że nie zawiedzie mojego zaufania i na nowym stanowisku będzie równie dobry jak Tirdach.

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA

PORWANIE KSIĘŻNICZKI

SCENARIUSZ I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

15

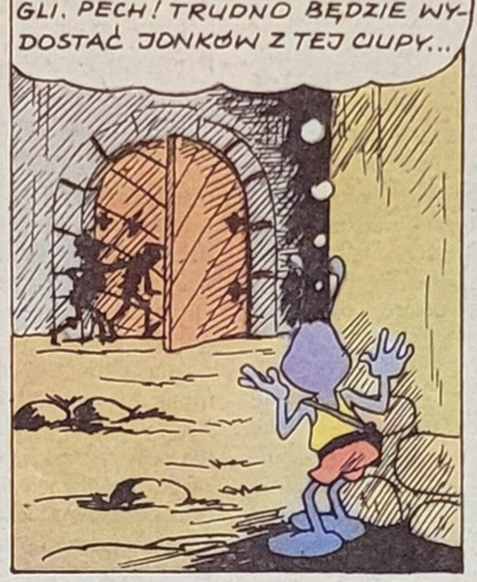

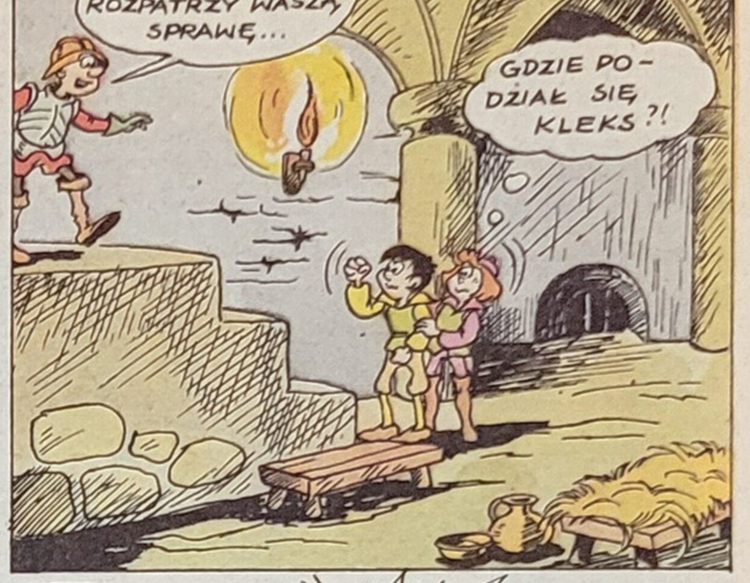

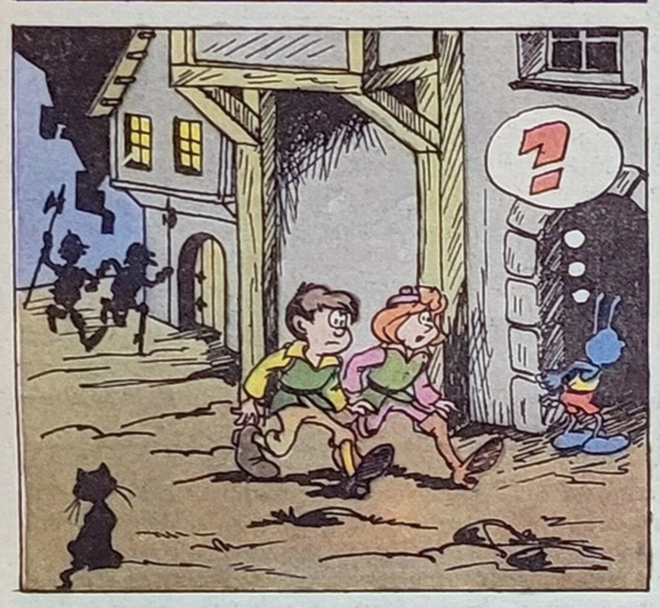

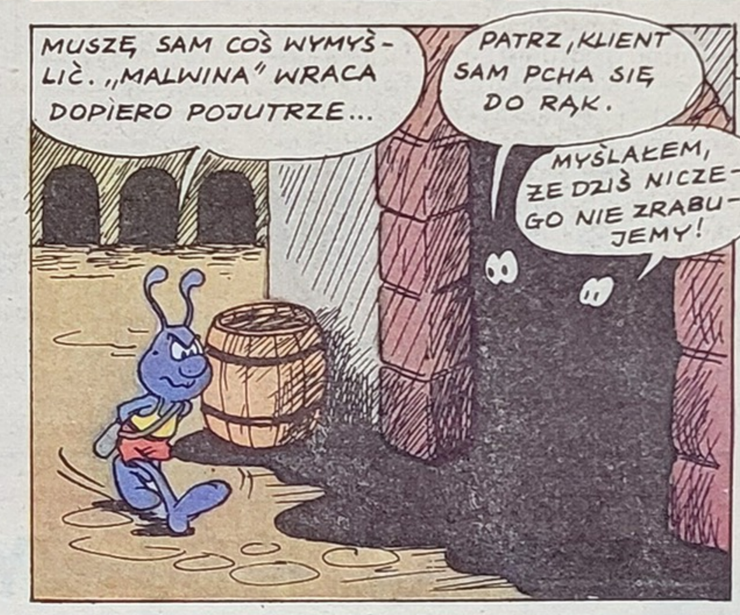

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie gśaficzne Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne Jerzy Rusak

Korekta Bianka Abratowska-Lisowska

Nakł. 500292

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 138/G. M-70

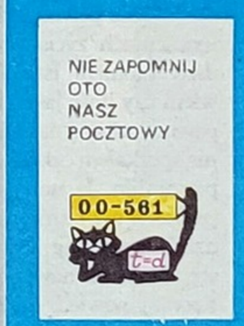

UŚMIECH NUMERU

PAWEŁ tłumaczy młodszemu bratu, co to jest lustro:

– No, gdzie patrzysz po umyciu się, aby się przekonać, że już masz czystą twarz?

– Na ręcznik...

★

PAN NOWAK został zaproszony na kolację do znajomych. W przeddzień telefonuje z uprzejmym zapytaniem, czy może przyprowadzić kolegę, który przez ostatnie dwa lata mieszkał u ludożerców.

– Z przyjemnością – oświadcza gospodyni. – Ale proszę mu powiedzieć, że na kolację będzie tylko kurczak i ryba...

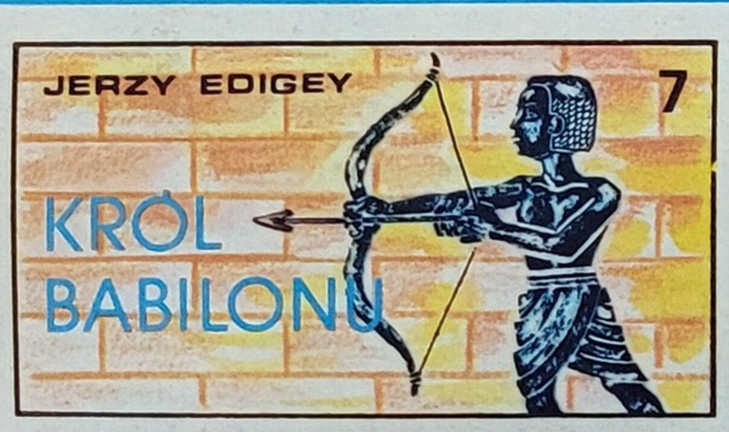

Tymczasem Zukatan, który początkowo uważnie przysłuchiwał się rozmowie starszych, znudził się tą dysputą. Po cichutku zsunął się z zydla i zaczął bawić się z Golmar. Dopiero po dłuższej chwili Meherbanu zwróciła na to uwagę.

– Patrzcie – powiedziała – dzieci tak się bawią, jak gdyby znały się od lat.

W tym wieku łatwo o przyjaźnie – przytaknął Sillaja – dzieci nie dzieli majątek, ani urodzenie, ani pochodzenie...

– To prawda – przyznał Azardad. Również i ta odpowiedź dziesiętnika bardzo mu się spodobała. Zanim wezwał Sillaję do swego pałacu, wcześniej zebrał informacje o tym żołnierzu. Książę, podobnie jak Meherbanu, bez najmniejszych zastrzeżeń wierzył, że krokami Zukatana kierował sam Bóg. Dzisiejsza rozmowa utwierdziła perskiego dostojnika w postanowieniach, które już przedtem zamierzał zrealizować. Teraz dał dyskretny znak żonie, aby przeszła do sprawy.

– Sillajo – odezwała się księżna Meherbanu – ja i Golmar do końca życia będziemy dłużnikami twojego syna. Nie wiemy, jak mu się wypłacić.

Sillaja przez moment pomyślał, że odkąd wielki król Dariusz zaczął bić złote krążki ze swoją podobizną, wdzięczność ludzka stała się dużo łatwiejsza do przeliczenia. Nie odpowiedział jednak ani słowa. Tymczasem Meherbanu ciągnęła:

– Postanowiliśmy razem z księciem Azardadem, że zaopiekujemy się twoim chłopcem.

– Będzie, dostojna pani, jak rozkażesz.

– Dopóki więc pozostaniemy w Babilonie – oświadczyła Meherbanu – niech Zukatan codziennie przychodzi do naszego pałacu. Mamy tu najlepszych nauczycieli, jakich można znaleźć w Babilonie. Oni nauczą twojego syna sztuki czytania i pisania, śpiewu oraz dziejów Babilonii i całej Persydy. Będzie mógł również bawić się z Golmar.

– Przyda mu się także – dorzucił Azardad – sztuka strzelania z łuku i władania mieczem oraz włócznią.

– Naturalnie zadbamy i o to – dorzuciła księżna – aby go odpowiednio ubrać.

– Kiedy twój syn dorośnie, będzie mógł zostać kapłanem, ale nie zwykłym szangu, lecz kapłanem wyższego stopnia, erib biti.

– Albo żołnierzem, jak ojciec. Może dowódcą jednego z sześciu korpusów całego królestwa lub nawet... satrapą?

– Przecież nie jest nawet Elamitą – ośmielił się wtrącił Sillaja, który słuchał tego wszystkiego niczym cudownej bajki, ale nie tracił poczucia rzeczywistości: żaden Babilończyk nie został jeszcze nigdy nawet tysięcznikiem w armii królewskiej. Już nie mówiąc o stopniu tartanu. A być satrapą, czyli wicekrólem rządzącym którąś z prowincji imperium perskiego, to zupełnie wykluczone. O co tu chodzi? – Sillaja podejrzliwie spojrzał na Azardada. A ten mówił jakby do siebie:

– Żaden Babilończyk nie był satrapą, to prawda. Trudno, żeby Persowie bez zastrzeżeń już dzisiaj wam ufali. Mało to razy Babilon buntował się przeciwko królom asyryjskim, a i później za Kambizesa i za samego Dariusza?

– Babilon buntował się przeciwko obcemu panowaniu – wtrącił półgłosem Sillaja.

– Dziś Babilon jest większy i bogatszy niż był nawet za waszego króla Nabuchodonozora. Wasi kupcy bezpiecznie podróżują po całym państwie. Wasze świątynie są otwarte i pełne skarbów. Sam król Dariusz składa dary waszym bogom. Ozdabia swoją głowę koroną Babilonu. Elam i Media zostały zrównane we wszystkich prawach i przywilejach z Persydą. Jeśli Babilon będzie lojalnie służył swoim królom, może także spotka go ten sam przywilej? Następca tronu, Kserkses, przez wiele lat

Dokończenie na str. 7